Nr. 6. Lwów, Niedziela dnia 25. października 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

V.

STOWARZYSZENIE PRACY KOBIET.

„My rządzim światem — a nami kobiety—“ powiedziano już dawno, i nie bez pewnej słuszności. Poddaliśmy się chętnie temu władztwu, one jeszcze chętniej objęły berło monarsze. I przyznać trzeba, że gdzie owe słowa pojęto nie w znaczeniu trywialnem, gdzie te rządy zrozumiano jako panowanie nad sercem męża, jako stosunek w którym mężczyzna ścierający się z przeciwnościami, ze złem a często i z brudem szerokiego życia, ulega uszlachetniającemu wpływowi kobiecego serca — tam niezawodnie „rządy“ te najlepszy wpływ wywierają na to, co podstawą jest życia społecznego i narodowego: na rodzinę.

Nie wszystkim jednak dano panować. Nie każda może zająć owe szczytne stanowisko kapłanki domowego ogniska, królowej serca mężczyzny, matki i wychowawczyni młodego pokolenia. Już dla samej liczebnej przewagi ludności żeńskiej nad męską, jaką wykazuje statystyka, musi część pewna kobiet rozminąć się ze swem przeznaczeniem. Inne znowu mają przed sobą tę smutną alternatywę, że albo muszą zrobić wybór, za którym nie przemawia głos serca, albo wyrzec się na całe życie tej osłody, jaką daje rodzina, i do tego jeszcze ciężko na kawałek chleba pracować....

O tych zapominało dotychczas społeczeństwo. Przeznaczając je z góry na to, że mają „rządzić nami“ — najczęściej nie nauczono ich pracować, na wypadek gdy rządzić nie będą mogły. Szwaczka lub guwernantka — to były dotąd jedyne zajęcia, którym się mogły oddać. Oba też zawody zostały przepełnione, w obu zbyt silne współzawodnictwo szukających pracy zniżyło jej cenę poniżej jej wartości, a nieraz też i poniżej kosztów najskromniejszego utrzymania. Ztąd nędza i — zepsucie. Nie pomogą tej sprawie, a raczej jej szkodzą deklamacje wszelkie o tak zwanej emancypacji kobiet, wszelkie o nią teoretyczne spory. Nie o emancypację, nie o prawa jakieś polityczne, nie o wyrwanie kobiety z rodzinnego koła, które jest naturalnym dla niej gruntem, rozchodzić się tu powinno — ale po prostu o kawałek chleba, więc o otwarcie kobietom szerszego niż dotąd pola zarobku, skoro się dotychczasowe okazały niedostatecznemi.

Bardzo zatem praktycznie jęły się tej kwestji Panie lwowskie, kiedy nie dając się wciągnąć na pole walk teoretycznych, nie podnosząc z hałasem wielkim kwestji emancypacji, pojęły sprawę z ekonomicznego punktu widzenia, i zawiązały Stowarzyszenie pracy kobiet. Celem jego jest przedewszystkiem podniesienie wartości pracy przez udoskonalenie takowej, a otwarcie jej zarazem nowych zakresów „ze stanowiskiem i powołaniem kobiety zgodnych“.

Taki cel sobie wytknąwszy, zmierza do niego stowarzyszenie bez nagłych skoków, powoli ale statecznie. Otwarto wiąc pracownie i rozpoczęto naukę najprzód szycia bielizny i sukien, następnie szewstwa. Robotnice w stowarzyszeniu lepiej są płatne niż w prywatnych zakładach, bo zysk nie jest celem pracowni stowarzyszenia. Uczennice za bardzo mierną opłatę pobierają naukę w stowarzyszeniu, te zaś, które są członkami, bezpłatnie. Nauka szewstwa, choć dopiero przed dwoma miesiącami rozpoczęta, idzie wybornie, a wyroby uczennic mają już odbyt zapewniony. Prócz tego udzielaną bywa w stowarzyszeniu nauka rachunkowości kupieckiej, a wkrótce ma być otwartym kurs korespondencji handlowej. Obecnie zamierza stowarzyszenie rozpocząć także naukę introligatorstwa, w czem kobiece rączki do wielkiej wprawy doprowadzić mogą. Że zaś między uczennicami i pracownicami jest wiele takich, które ledwie drugą lub trzecią klasą szkoły ludowej ukończyły, przeto stowarzyszenie zajmie się także ich wykształceniem umysłowem, urządzając u siebie rodzaj szkółki powtarzającej. Prócz tego istnieje przy stowarzyszeniu biuro wywiadowcze, które zaleca na guwernantki, bony, klucznice, itp. — a że w zalecaniu bardzo jest ostrożnem, przeto też coraz pomyślniej czynność jego się rozwija. Jedna tylko gałęź czynności stowarzyszenia dotąd bardzo słabo jest rozwiniętą, t. j. bazar, w którym miano sprzedawać domowe wyroby rąk kobiecych. Ileż to jest takich, które wyrobów swych same sprzedawać nie mogą, a czasem wstydzą się sprzedawać — a którym byłoby to w domowych finansach znaczną pomocą. Bazar stowarzyszenia mógłby pod tym względem znakomite oddać usługi.

Oto jest ogólny zarys czynności stowarzyszenia, które weszło w życie dopiero przed pięciu miesiącami, a już nie jednę łzę otarło, nieraz ze skuteczną przyszło pomocą — a ucząc pracować zapobiega niejednemu nieszczęściu. Stoi ono i rozwija się o własnych siłach. W innych krajach stowarzyszenia takie zaraz w pierwszych chwilach istnienia uzyskały znaczne subwencje od rządu, z funduszu krajowego, z funduszów gminy itp. Nasze dotąd nie wyciągnęło proszącej ręki. Tem większy przeto obowiązek ze strony publiczności, ażeby licznem przystępowaniem poparła szlachetne a tak praktycznie podjęte cele stowarzyszenia.

Sądzimy, że i w innych większych miastach kraju naszego, mogłyby i powinneby zawiązać się podobne stowarzyszenia. Rozwój lwowskiego udowodnił już, że myśl sama jest u nas żywotną. Potrzeby kobiet, o których mówiliśmy we wstępie, są takie same w Krakowie, Tarnowie i w Przemyślu, jak i we Lwowie, złe skutki z braku zarobku wynikłe takie same tam jak i tutaj. Stowarzyszenie lwowskie zawiązującym się na prowincji ochoczo przyjdzie w pomoc przez udzielenie statutu, wszelkich instrukcyj, formularzy i t. p. — a z czasem będzie zapewne mogło lepsze swe uczennice, gdyby było potrzeba, posyłać jako instruktorki. W ten sposób możnaby z czasem kraj cały zarzucić siecią takich instytucyj. Raźno więc do dzieła — a bądźcie Panie pewne, że gdy Was ujrzemy pracujące gorliwie i z poświęceniem około dobra tych z pomiędzy siostr Waszych, którym los zawistny nie dał rodzinnego szczęścia — chętniej jeszcze niż dotąd uznamy Wasze nad nami rządy.

SERCE I RĘKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Będę się więc starał abyśmy się z nim nie spotkali — rzekł Zygmunt, na którym to wszystko mało na pozór czyniło wrażenia.... — Idzie o moje szczęście, będę go strzegł z całą...

— Z całą troskliwością człowieka, dla którego ono reprezentuje pewną w świecie pozycję. Ja wiem, że jestem dokumentem na majątek, więc nie powinnam zaginąć....

— Pani jesteś dla mnie okrutną....

— Mniej daleko niżeli pan byłeś dla mnie.

— Sądź mnie pani jak chcesz... lecz sama jej piękność....

— Moja piękność?? Ja dla pana nie chcę być piękną... nigdy... pan mi jesteś obrzydliwy....

— Pani!...

— Chcę byś przed ślubem wiedział co cię czeka, jaką jestem i jaką będę. Czynię krwawą dla rodziców, dla ojca ofiarę — dla świata — ale ma ona granice.... Ja ich nie przekroczę i przejść ich nie dopuszczę. Masz pan majątek... koligację — stosunki... wszystko co chcesz... ale mnie — mieć nie będziesz, nigdy!...

— Będę się starał pozyskać jej serce....

— Fraza, znowu fraza! niecierpliwie rozśmiała się Olimpja. Mówmy zimno, mówmy rozsądnie, — ja od pewnych warunków nie ustąpię.

— Możesz pani postawić jakie się jej podoba, zgadzam się na nie, pozostaje mi nadzieja, że je sama cofnąć zechcesz.

— Nie — odpowiedziała Olimpja — dziesięć lat jedno, niezmienione noszę w sercu uczucie, jedną stałą żałobę, znam siebie... we mnie kamienieje co w serce wpadnie miłość i nienawiść zarówno....

Lecz, podobno zbyt długo pana tu zatrzymuję, poprawiła się wstając z kanapy. Skończym w kilku słowach.... Moje warunki....

— Ślepo je przyjmuję — przerwał z niecierpliwością pewną, wstając z krzesła swego Zygmunt....

— Jest jeden, nazwij go pan dziwacznym, ale ja nie mogę od niego odstąpić. Raz w życiu ślubowałam temu człowiekowi, zamieniliśmy obrączki.... Od tej pory żadna siła ludzka zdjąć mi jej z palca i z serca nie mogła. Jutro przy ślubie.. nie przyjmę innej jak tę samą....

To mówiąc zdjęła powoli z palca złoty pierścionek i trzymając w białem ręku pokazała Zygmuntowi.

— Pan mi dasz słowo uczciwego człowieka, że nie inną, jak tę poświęci jutro kapłan i włoży mi na rękę.... Skłam pan, że to obrączka jego matki, rób co chcesz.... Jeśli mi inną poda ksiądz — a tę poznam i poczuję wszędzie — odejdę od ołtarza.... Raz przysięgłam i nie zmienię uroczystego słowa. Pan dla mnie będziesz tylko pełnomocnikiem tego króla, do którego należy moje życie....

Czarne swe oczy wlepiła w niego trzymając w drżących palcach obrączkę....

— Słowo honoru? zapytała....

Zygmunt mgnienie oka wahał się, pot mu wystąpił na blade czoło.

— Słowo honoru — odparł cicho — wyciągając rękę po obrączkę.

— Wierzę jego honorowi — zawołała Olimpja.... — Teraz wszystko skończone — ślub jutro... to mi już jedno.... Odegrajmy tę komedję jak najprędzej z zadowoleniem dostojnego parteru... dorzuciła szydersko.... Nie lękaj się pan, nauczyłam się przez te lat dziesięć być wcale niezłą aktorką.

Mówiąc to skłoniła mu się ceremonjalnie, lecz gdy Zygmunt biorąc obrączkę chciał pocałować ją w rękę, cofnęła ją prędko, gniewnie, i oczy jej błysnęły strasznie jak w chwili gdy wchodził do saloniku....

Zmięszany ukłonił się niezgrabnie... i uszedł do progu....

Tu zaledwie otworzył drzwi, ujrzał matkę oczyma badawczemi wpatrującą się w niego niespokojnie....

— Wszystko skończone... jak najlepiej— wyjąknął stłumionym głosem. Ślub może być jutro....

* * *

Program dnia ślubu, pomimo iż liczba gości zaproszonych ograniczała się do rodziny i najbliższych przyjaciół, skreślony był przez samą panię tak aby wesele świetnem się stało i uroczystem. Olimpja zgadzała się na wszystko, ojciec tak był szczęśliwy iż się niczemu nie sprzeciwiał.

W kościołku wiejskim, przybranym w kwiaty i wieńce, około południa miała być msza, którą staruszek pleban odprawiał. Wikarjuszowi przypadała mowa do nowożeńców — bo ksiądz Hrehorowski, osiemdziesiątletni, drżący, głos miał cichy i mowę trudną.... Następnie wspaniała uczta trwać miała do późna. Zamówiono do niej muzykę całą sprowadzoną z Poznania.... Herbata, wieczerza cukrowa... rozmowy zająć były powinne jak obrachowywano czas do północy.... Państwo młodzi wziąwszy raz jeszcze błogosławieństwo rodziców, odprowadzeni przez nich i przez całe towarzystwo do najbliższej stacji, nocnym pociągiem pospiesznym mieli wyruszyć w zwykłą podróż, do Szwajcarji, aby tam lub we Włoszech spędzić miodowe miesiące.

W tym przeciągu czasu nieoszacowany Szambelan, który się na tem znał doskonale, miał się zająć urządzeniem dworu państwa młodych, z ojcowską pieczołowitością podjął się tego, narzuciwszy się Zygmuntowi i ściskając go w obec pana Radzcy, prawdę powiedziawszy w tej nadziei, iż na tem się nieco odbije za niezmierne wydatki, jakie miał w ostatnich czasach. Zygmunt znający zbyt dobrze ojca swego, bronił się jak mógł, wiedząc co go to będzie kosztować. Szambelan nie dał się ze stanowiska zręcznie zdobytego wyrugować i ofiarował poświęcić mimo wieku i dostojności....

Radzca obiecywał dostarczyć na to funduszów. Przezorny zięć wolałby był sam niemi rozporządzać, utyskiwał nad tem, że ojciec słabego zdrowia, skłonny do reumatyzmów i fluksji, może odcierpieć. Szambelan ani słuchać nie chciał....

Piękny bardzo dzień letni, ochłodzony wietrzykiem wschodnim, z niebem lazurowem, przerzynanem chmurkami białuteńkiemi jak rozrzucone runa baranków rajskich — przyświecał temu dniowi szczęścia....

Gromady z wiosek przyszły zrana, z darami i powinszowaniami....

Scena była nader rozczulająca gdy państwo młodzi, z uśmiechami o których nikt nie wiedział że są pożyczane, wyszli dziękować....

Olimpja choć blada po kilkudniowych cierpieniach nerwowych, była dziwnie spokojną i majestatyczną; pan młody wydawał się obcym — najszczęśliwszym z ludzi. Na twarzy ojca promieniało uczucie zadowolenia i łzy kręciły mu się w oczach.

Sama pani musiała nadzwyczajnych środków toaletowych użyć, ażeby pokryć ślady wrażeń jakich doznała i wzruszenia, które nią miotało.... Nie dziw też że rumieniec kupny wydawał się nieco jaskrawego kolorytu... że bielidło, które od gorąca schodziło, żółte odsłaniało plamy, że oczy miała w obwódkach ciemnych, w oprawie starannie dobranej, mimo to zgasłe i blade....

Szambelan oparł się stanowczo uwagom syna, włożył pod frak wielką wstęgę Ś. Anny, gwiazdę do boku przypiął, na szyję włożył Włodzimierza, a w pętlicy umieścił wspomnienia zasług pięćdziesiątletnich dla kraju, nie zapomniawszy nawet medalów i sprzążek zagranicznych, które sobie różnemi środkami wyrobił. Sam jeden wprawdzie tak był wyilluminowany, ale go to w najmniejszej rzeczy nie mięszało że zwracał na sie oczy, bo niedowidzał nieco szyderskich uśmiechów.

Stary prezes Drogolewski, który był nielitościwym drwiarzem, przypadł aż do ucha Radzcy żeby mu powiedzieć:

— Zięć jak zięć, ale co tatka toś sobie wybrał w takich splendorach, żeśmy gotowi patrząc nań poślepnąć....

— Śmieszny jest — ruszając ramionami cicho odezwał się prezes... a na dobitkę zdaje mi się że sobie nawet klucz szambelański z tyłu przyczepił. Wielkie szczęście iż munduru nie włożył....

Ks. Wikary po wczorajszej rozmowie z p. Maciejem, mowę przygotowaną już zmienić musiał zupełnie. Z razu umieścił w niej admonicję do pana młodego, ażeby ten czysty kwiatuszek dziewiczy, na łonie matki wypielęgnowany... strzegł i ochraniał od trujących oddechów zepsutego świata... później musiał z wielkim żalem nad rubryką, którą trzeba było odrzucić — ograniczyć się do ogólników o obowiązkach stanu małżeńskiego i życzeń przyszłości....

Gdy przyszło do włożenia pierścieni, i staruszek z tacki je drżącą ręką wziął zamieniając, oczy Olimpji niespokojnie padły na obrączkę.... Zygmunt dotrzymał słowa — była to ta, którą znała, która jej była drogą, nad którą innej postanowiła nie nosić nigdy.... Ponieważ pleban staruszek nieco był głuchy, nie mógł dosłyszeć przysięgi, Olimpja poruszała ustami, i to było zupełnie wystarczającem. Któż się mógł domyśleć że przysięgła temu, czyją wzięła obrączkę?

Kilkaset zaledwie kroków dzieliło kościołek od pałacu, ścieżka wiodąca do niego wysłana suknem, zarzuconą była kwiatami... Poszli więc państwo młodzi depcąc te symbole nietrwałości szczęścia ludzkiego, uśmiechające się chwilę — przed zgonem. Dziedzińce pełne były sług, dworu, włościan, ciekawych z miasteczka i sąsiednich wiosek.

Patrząc na tę piękną parę, iluż to stojących zdala zazdrościło Zygmuntowi jego doli! jak ona zdawała się świetną i szczęśliwą! I nie jedno serce niewieście zabiło na widok pięknego młodzieńca, który z taką swobodą, z takim wdziękiem kroczył uśmiechając się do bogdanki....

Jeden stary Maciej w rogu domu, przytulony do muru, zakryty chustką płakał... łkał i jęczał. Któżby się dziwił osłabłemu staruszkowi?...

Towarzystwo było wyborowe, ludzie stanowiskami poważni, majętni, pięknych imion, kilka pań, śmietanka wielkopolska, kilka panien pięknych jak tylko Polki być umieją, pięknych tak że się nikt nie dziwi (nawet Niemcy), że my wszyscy z rozumami i sercami naszemi ciśniem się pod ich pantofelki — bo pod niemi — raj — w ostatku kilku młodych ludzi, kuzynów, powinowatych, sąsiadów.... Pomiędzy nimi na herbacie był hr. Just, który sobie przypisywał że kochanego Zygmunta tak świetnie i szczęśliwie ożenił.

Był on w okolicy ocenianym przez młodzież i uważanym za wyrocznię w sporcie, w zabawach, przy stolikach gry i w wielu innych ważnych życia kawalerskiego stosunkach... Sumienie jednak wyznać każe iż ci panowie, którzy wszyscy prawie z kolei zabiegali napróżno drogę pannie Olimpji, z pewnem podziwieniem widzieli iż ich ubiegł, wprawdzie wielce utalentowany, ale ani nazwiskiem, ani majątkiem, ani nawet wykształceniem i dowcipem, ani też powierzchownością równać się im niemogący, biedny przybłęda z za kordonu....

— Wiesz co Kaziu, cichuteńko mówił jeden z kawalerów, który się szczerze i długo kochał w Olimpji, niech mi się stanie co chce jeśli rozumiem jak ten człowiek doszedł do tego szczęścia....

Kazio przysunął się do ucha pierwszego i szepnął.

— Jeśli się to może nazywać szczęściem....

— Ale czegoż ty chcesz, piękna jak anioł, bogata i imię znakomite....

— Starałem się i ja o nią, ale przyznam ci się — żem lżej odetchnął gdy mi odmówiła....

Drugi się rozśmiał. Bonne mine à mauvais jeu! Ils sont trop verts??

— Nie, rodzice mnie popychali... ale ilem razy spojrzał w te jej czarne, smutne oczy, ile razy uśmiechnęła się mi tym uśmiechem... jakże ci go nazwę? — wdowim, chłodnym, szyderskim... dreszcze chodziły po mnie.

— Prawda że Olimpja strasznie królewską ma postać, a jeśli pójdzie po mamie, trudną będzie do przyswojenia... ale małżeństwo... ale miłość.

— Dziwaczna, to prawda, mówił Kazio... słyszałeś pewnie, bo któż o tem nie wiedział że grała niegdyś na fortepianie jak Liszt... że była namiętnie muzykalną... potem nagle... nie tknęła już fortepianu, niecierpiała muzyki... i Erarda u nich otworzyć nie było można....

— Mówią że jej doktorowie zakazali!

Kazio ruszył ramionami niedowierzająco....

— Jest w tem wszystkiem, przysiągłbym jakaś tajemnica, szepnął ledwie dosłyszanym głosem. Przypatrz się jej, to heroina romansu....

— A wiesz że mama liczy jej lat trzydzieści.

— Bardzo być może....

— Zygmunt przy niej na młokosa wygląda — choć żył i przeżył wiele....

— Ha! ha! cóż na to powie Adela! zaśmiał się jeden z nich....

— Jaka Adela? spytał drugi.

— Jakto niewiesz? Ten człowiek w czepku się rodził by wszelkiego szczęścia kosztował. Wystaw sobie, że najśliczniejsza z solowych tancerek, gwiazda Warszawskiego baletu kochała się w nim do szaleństwa. Nie on w niej, bo w tem nie byłoby nic tak szczególnego, ale ona w nim.... Płaciła za niego długi.... Chciała się truć gdy ją zdradzał, i gdyby nie matka, kobieta rozsądna.... Mówią że teraz jeszcze gdy go zobaczy w mdłości wpada....

— Młodzi panowie poszeptali po cichu, rozśmieli się i zamilkli....

— Wiesz — dodał Kazio, ty co rysujesz karykatury tak dzielnie — powinieneś pochwycić Szambelana.... Szambelan ze swemi krzyżami, gwiazdą, powagą, wielomownością, czupryną podczesaną w górę tak tryumfująco — jest nieoszacowany....

W kołach żeńskich, między starszemi paniami, z pod wachlarzów wyrywały się też uwagi różne....

— Proszę cię — moja prezesowo, mówiła stara kobiecina — przypatrz się tej naszej nieszczęśliwej gospodyni... co się to z jej malowaną twarzą zrobiło.... Żeby ją kto choć przestrzegł.... Gorąco i łzy macierzyńskie mapy jej porysowały... okropna. Ale po co udaje młodą, kiedy o rok starsza odemnie.

— Widzisz jaka ta Olimpja piękna?

— Ale blada aż strach... boję się by nie zemdlała....

— Czy też oni się kochają? wrzuciła trzecia.

— Chłopak ładny... kto wie....

Bardzo ciche niepochwycone szepty zakończyły urwaną rozmowę....

Jedna z pań przed nadchodzącą gospodynią zaczęła się unosić nad śliczną nowożeńców parą....

— A kochająż się oni — moja Radczyni? powtórzyła ciekawa jejmość.

— Zygmunt traci zmysły — odpowiedziała matka — a moja droga Olimpja choć tego nie daje poznać po sobie, bo bardzo jest dumną, wiele ma dlań inklinacji. O! to będzie bardzo szczęśliwe małżeństwo....

— Wszystkie warunki szczęścia — poddała trzpiotowata Sędzina, młodość, piękność, zgodność charakterów....

— A tak! tak! spiesznie rzuciła matka, ocierając twarz i wachlując się silnie....

Olimpja przed obiadem znikła.... Nikt się temu nie dziwował, bo po kilkudniowej słabości, potrzebowała odpoczynku.... Wlokąc za sobą białą swą suknię morową jak kajdany, szła zwolna do swojego pokoju.... Zbolałą głowę opierała niekiedy o marmoryzowane ściany pokojów aby ją ochłodzić.... Powolnym krokiem doszła do progu swojego panieńskiego mieszkania... ledwie siłę miała drzwi sobie otworzyć i zsunęła się na fotel najbliżej stojący....

Widok dziwny przedstawił się jej oczom... Stara panna służąca, która niegdyś towarzyszyła im jeszcze do Drezna, zachodząc się i rycząc z płaczu pakowała już do podróży to, co wiedziała że jej drogiej panience miłem być może.

Poczciwa Szafrańska, w siwych już lokach, z twarzą pomarszczoną, chustką ocierała się i ręce załamywała.

Zobaczywszy swą panię, przy której była od dziecińs twa, z którą tyle lat cierpiała razem, rzuciła zawiniątko z rąk i padła jej do kolan.... Nic nie mówiąc zrozumiały się.... Szafrańskiej żal było biednej Olimpji.... Obawiała się Zygmunta i przyszłości.... Stara sługa, dziś siwa już i złamana, niegdyś żywa, zwinna i zalotna... miała wiele bardzo dobrych stron i wad nie mało; za ostatnie płaciło jej serce dla państwa, których kochała szczerze. Zresztą nie trzeba tam było szukać ani logiki w postępowaniu, ani wytrwałości i pomiarkowania w charakterze.

Olimpja widząc ją płaczącą, otarła oczy chustką.

— Moja staruszko — rzekła cicho — płakać już nie czas lub jeszcze nie pora... trzeba walczyć z nieprzyjacielem.... Do drogi gotowe wszystko, nieprawdaż?...

— A! moja droga pani — gotowe! gotowe... ale ja... ale mnie... ale starą Szafrańskę musicie wziąć, ja od tego nie odstąpię. Mówiłam już ze starszą panią.... Starsza pani żąda żebym z nią została... a ja muszę jechać. Wielka rzecz, on dla pani znajdzie sługę szpiega, zdrajcę, nieprzyjaciółkę... wam trzeba mieć choć w słudze sprzymierzeńca — któż to wie co wypaść może? — Ja muszę jechać... nieprawdaż?...

— Ale — moja Szafrańska... jeżeli matka....

— Pani powiesz że chcesz mnie mieć z sobą, i po wszystkiem... takiego dnia jjak dzisiejszy nic się nie odmawia. Przynajmniej jedną mieć będziesz duszę na którą rachować możesz....

Patrzała jej w oczy... Olimpja cicho szepnęła: — Mów z matką, powiedz jej że ja tego żądam — dobrze....

— Jak mi Bóg miły, nie myślcie żebym to ja czyniła z trzpiotowstwa, aby się po świecie pokręcić... taż już siwe mam włosy.... Wolałabym za piecem siedzieć tutaj.... Ale co to taka podróż z nieznajomym człowiekiem, proszę panienki (omyliła się umyślnie) kto może wiedzieć co wypadnie? co on myśli? co on zrobi? Już dziś, paplała, gdy państwo odeszli od ołtarza ręka w ręce, może mi się tego mówić nie godzi, ale czy panienka jemu w oczy kiedy spojrzała — co to za wzrok... jakby nożem stalowym kto błysnął! Gdyby się kiedy po-

gniewał, buchnął, zaczerwienił, drgnął... chodzi jak machina.... Ja się tego człowieka boję i dla tego chcę być przy pannie. Ja mu nie wierzę. Niech pani nie myśli — co tam stara staruszka pomoże? Nie pierwszy by to raz sługa panią wyratowała.

— Więc jedź, jedź moja droga, rzekła Olimpja... uczynisz mi wielką przysługę... bądź pewna że cenić cię umiem....

Rzuciła się do pakunku uradowana Szafrańska, gdy weszła matka.

— Szafrańska jedzie ze mną! odezwała się Olimpja.

Radczyni ruszyła ramionami.

— Po co? żeby ci fluksją i reumatyzmami swemi zawadzała.... I dla niej i dla ciebie to nic nie zdało.

— Przepraszam mamę, choć przez kilka pierwszych miesięcy chcę mieć kogoś przy sobie komu bym zaufać mogła. Szafrańska jedzie ze mną.

Matka zmilczała. Zbliżyła się godzina obiadu; potrzeba było wyjść do gości i na nowo odgrywać tę rolę pani młodej, na którą się wzdrygała Olimpja. Ciężył jej ten strój godowy urągający się uczuciu, sercu które pod niem biło... rada była zerwać ze skroni pomarańczowe kwiaty kłamiące dziewiczą jej świeżość, gdy się czuła wdową w żałobie; palił ją naszyjnik piękny, który Szambelan złożył jej w podarunku, a który matka włożyć zmusiła.... Był to dar Cesarza Aleksandra, pono babce p. Zygmunta w jakimś przejeździe przez Warszawę ofiarowany....

(C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy.)

— Dla tego pani samotność swoją dzielisz z najprzyjemniejszą towarzyszką, książką — rzekłem do Lili.

— Poezje Longfellowa — odpowiada miss, podając mi otwartą książkę.

— Co za szczęśliwe zdarzenie! — zawołałem — przypadek chciał, abym poznał panią w chwili czytania jedynej zwrotki, jaką znam tego poety i często ją powtarzam w rodzinnej mej mowie.

O, ty nie skonasz jak wieczorne zorze
I jako gwiazda cicho nie zagaśniesz,
Duszy, jak rosy nie wypije słońce!...
. . . .
Skonasz, zaprawdę, ty skonasz bez wieści,
Lecz wprzódy nędza siły twoje znęka;
Tylko w naturze mrze się bez boleści,
Serce człowieka kawałami pęka....

— I pan miałbyś potrzebę pocieszać się taką rezygnacją?

— Czy i pani, dla której życie jest jeszcze tajemnicą, świat nadzieją i przyszłością, myślałabyś o pękaniu z boleści serca?

Miss zarumieniła się, następnie zbladła, a uśmiechając się smętnie dodała:

— My często ze zbytku szczęścia szukamy niebezpieczeństw, a ze zbytku roskoszy życia pragniemy boleści, chociażby do pęknięcia serca.

— Jest jakaś tajemnica — pomyślałem — w serduszku Lili, jak niemniej i to jest tajemnicą, jakim sposobem ta młodziutka dzieweczka, wychowana w prezbiterjańskim obozie, niemając innego wyjścia na świat, jak tylko przez sklep ojca, mogła posiadać tyle wdzięku, elegancji, prostoty i poetycznej rzewności, których żadna szkoła dać nie może.

Dżentelmeni z panem Snape, po krótkiej naradzie w jego pokoju — wchodzili jeden po drugim do saloniku — zasiadając przy stole. Rumiane a ogolone ich twarze, nastrojone udaną surowością, robiły ich podobnymi do księżyców w pełni, do profesorów pragnących przerazić swoich uczniów, aby postrachem wyrobić sobie poszanowanie, do urzędników autonomicznych, usiłujących tajemniczą powagą osłonić swą niewiadomość.

Pan Snape przywitał córkę całując ją w czoło. W tej chwili weszła pani Snape, w białym czepku z popielatemi wstążkami, mocno zarumieniona, nie wiadomo tylko, czy pod wpływem wzruszenia, czy też od węgli, które smażyły pudding. Rzuca się ta pospolita kobieta, z czułością kochanki, do pana Snape — ściska go za rękę, patrząc trwożliwie w oczy męża, w jej przekonaniu wielkiego człowieka.

— Rachel powiedziała mi wszystko, myślałam ciągle podczas waszej nieobecności o tobie, panie Snape, prosząc Boga o powodzenie...

— I Bóg wysłuchał twej prośby, porażka dzisiejsza będzie jutro tryumfem dla naszego kościoła!

Dżentelmeni, którzy powstali dla uściśnienia ręki pani Snape, kiwali głowami potakująco. Mister Kuk — nadzwyczaj poważny — mocno barczysty, szerokiego owalu przy chudej twarzy, zaciśniętych ust, a gęstych brwi, jak się później dowiedziałem, kandydat na drugiego kaznodzieję przyszłego kościoła, podniósł rękę do góry, głosząc te pamiętne słowa:

— Zaprawdę mówię wam, słowa tej kobiety mam odwagę uważać za proroctwo!

Rachel spuściła oczy rumieniąc się, gdyż pan Kuk miał także odwagę rzucić gorące spojrzenie na siostrę pana Snape. Pani Snape ujęła powtórnie ręce swego męża, a patrząc z tkliwością na zdrową i rumianą jego twarz, dodała:

— I ja tak sądzę, Samuelu, oby tylko zdrowie twoje zniosło ciosy niepowodzeń i przeciwności!

Pan Snape udrapował się na męczennika, poświęcającego się idei. Rachel chciała prorokować, Mister Kuk zdobył się na odwagę wygłoszenia potężnego frazesu, Lili smutnie patrzała na karty książki... W tem odgłos uderzeń klucza o zasuwy sklepu zelektryzował wszystkich.

— Mister Simpson! — zawołała proroczo Rachela.

I istotnie był to p. Simpson w całym komplecie, bo ze swoją najdroższą połową, to jest z nieśmiałą i lękliwą panią Simpson.

Pan Simpson był delegowanym przez zgromadzenie propagatorem i mówcą, tak samo jak pan Snape, na dzielnicę Klarkenwel; wracał on także z kazania, które miał na Ferington-Street.

Po ceremonjach przywitania, pan Simpson powstał, oparł ręce o poręcz krzesła i zaczął w te słowa:

— Leydi end Dżentelmen! Często Bóg dla skierowania naszych myśli w ulubioną sobie stronę, użycza nam swej łaski, sprowadzając na nas przygodę. Tak sobie tłumaczę dzisiejszy wypadek.

— Wypadek?! — zawołało towarzystwo — zupełnie tak samo jak u nas.

— Okropny! — dodała pani Simpson wzdychając.

— Proszę o cierpliwość — przemówił znowu mister Simpson — albowiem tylko cierpliwi znajdują prawdę. O godzinie piątej minut dwadzieścia, staję wspólnie z panią Simpson i dwoma zwerbowanymi pomocnikami, na ulubionem mojem miejscu, zestawiam znaną towarzystwu mej konstrukcji ambonkę, odśpiewaliśmy psalm dla ściągnienia słuchaczów — i zaczynam. Mówię na temat wybrany i zdecydowany na ostatniej sesji; w przeciągu dziesięciu minut, pusty plac zaludnia przeszło sto osób, gromadzących się około mnie. Wtedy to buduję w ich sercach świątynię prawemu Bogu, a drużgocę bałwany pychy i innych plugawstw szatańskich. Nie, to nie do uwierzenia! Handromelach przysyła swego młodszego brata w postaci jakiegoś sprośnego komedjanta, który z początku, jak zauważała pani Simpson, przysłuchiwał się cierpliwie mej nauce. (Pani Simpson wzdycha). On tymczasem stanął o kilka kroków odemnie na kłodzie drzewa, i ze zręcznością orangutana, naśladując moje ruchy, głos, akcent i rodzaj wymowy — przekręcał w najbezczelniejszy sposób moje wyrażenia.

W towarzystwie ogromna sensacja. Lili uśmiechnęła się nieznacznie, pan Snape czuł się pocieszonym wspólnictwem klęski, a pan Kuk zrobił minę, jak gdyby miał odwagę utrzymywać, że pospolitą wymowę łatwo można naśladować.

— Z początku — ciągnął Mister Simpson — nie byłem w stanie pojąć przyczyny jakby odbicia mego głosu; umyślnie zatrzymywałem się, aby odgłos moich słów zaginął. I długo byłbym pozostawał pod tem wrażeniem, gdyby nie śmiech, śmiech przypominający przeklętego Chama. Słyszę wyraźnie powtórzone moje własne słowa, i nie śmiem się obejrzeć, aby nie dać powodu do roztargnienia. Nareszcie zwolna obracam głowę. (Tu pani Simpson znowu wzdycha.) Śmiech przemienia się w piekielne wycie. Naprzeciwko mnie stoi Handromelach, wycinając mi ohydną spicz, moim głosem i mojemi gestami. Poznaję go, to jeden z tych, którego ręka moja z woli prawa, dosięgnąć musiała... Oto starłem jego pychę, upokorzyłem go i sprzedałem mu sprzęty!

— Nie rozumiejąc ostatniego ustępu, proszę Lili o wyjaśnienie mi go. Miss tłumaczy mi, że pan Simpson jest komornikiem i taksatorem, dodając półgłosem:

— Mówią także, że nielitościwym...

— Młode djablice — ciągnie dalej religijny komornik — skakały z radości; podnoszę rękę, aby przestrzedz zbłąkanych słowami proroka Jonasza do Niniwian... Ja mówię i on mówi, mówiło nas dwóch jednym głosem, taka jest siła djabła! Śmiech zatwardziałych przeszedł wszelkie pojęcie, a młode córki szatana chichotem swym rozdzierały mi uszy. (Pani Simpson ponownie wzdycha.) Wtedy to Bóg zesłał mi natchnienie i nie dając się zwyciężyć djabłu zawołałem z godnością: „Na tem miejscu stanie przybytek Bogu w kształcie namiotu, a moc piekielna nie zwycięży go!“

Pan Simpson założył ręce po napoleońsku i ze skromnością, ale badawczym wzrokiem po-

widół po towarzystwie. Pewne szyderstwo mimo surowości i powagi, goszczące w zakątkach ust dżentelmena, a w oczach przeświecająca lisia przebiegłość, kazały mi przypuszczać, że oprócz żarliwości religijnej, p. Simpson miał w utworzeniu nowej kongregacji ukryty własny biznes*).

Na progu ukazuje się powtórnie pani Snape, a za nią służąca z 20 funtowym rostbifem, w odwodzie chłopiec sklepowy z potetosami (kartoflami) i kebiczem (sałatą); pikłosy i innego rodzaju przybory, czekały na swój los, na stole. Pan Simpson w tej chwili usiadł; ja dostałem miejsce przy miss Lili. Głębokie zapanowało milczenie; pani Snape zajęła krzesło obok męża; wtedy gospodarz domu, odmówił z godnością naczelnika kościoła i rodziny krótką modlitwę, wyciągając ręce po nad stołem. Ledi i Dżentelmeni słuchali z przejęciem, spuściwszy oczy na swoje talerze, poczem pan Snape uchwycił nóż i widelec i rozpoczął z cierpliwością krajać długie a cienkie plasterki rostbifu. Całe towarzystwo wlepiło oczy śledząc ruchy tej czynności; na twarzach dostrzegłem pewną pożądliwą niecierpliwość, co mi pozwoliło wnioskować, że sprawy kościoła rozbudzają w wysokim stopniu apetyt.

— Uroczysta cisza — przemówiłem półgłosem.

— Zapowiadająca burzę apetytu — dodała miss Lili po francusku. Towarzystwo oderwało wzrok od plastrów rostbifu, padających pod cięciami gospodarza i przeniosło go na Lili. Ojciec także spojrzał na córkę, a w jego oczach i uśmiechu, tyle było dumy i zachęty, że zakłopotana Lili odetchnęła myśląc, że użyciem katolickiego języka z kontynentu, nie popełniła jeszcze tak wielkiego przestępstwa.

— Dozwolono — wyrzekł p. Snape — dla uczczenia gościnności, używać obcego języka, we własnym domu, do cudzoziemca, jeżeli nas stać na ten rodzaj uprzejmości.— Pani Snape podziękowała mężowi wymownem spojrzeniem, a córce posłała tak pieszczotliwy uśmiech, że odrazu można było poznać serce matki, dobroć i gorącą jej miłość dla dziecka. Ponieważ nikogo w towarzystwie nie było stać na ten rodzaj uprzejmości, nikt też nie protestował w imię purytanizmu, i znowu oczy nieruchomie spoczęły na rostbifie.

Skończyło się krajanie; podział, skrupulatnie dokonany przez pana i panią Snape. Porcje były potężne, ale i apetyty zupełnie stwierdzały przypuszczenie Lili.

Pan Kuk miał odwagę zająć miejsce przy Racheli; siostra pana Snape mnożyła porcje na jego talerzu. Pan Kuk, miał również odwagę gwałtownie się spieszyć w ich sprzątaniu, na dowód sympatji dla Racheli i z obawy, aby przy mającej wejść pod rozbiór spodziewanej kwestji, nie być zaskoczonym.

Czas ten nadszedł—kwestja została podniesioną. Pierwszy p. Simpson, podczas rozlewania stautu i bitter-ell, przemówił:

— Zdaje mi się, że nie będzie zawcześnie, gdy zainterpeluję szanowne towarzystwo, pod jakiem wrażeniem zostaje, w sprawie namiotu na Farringdon-Road. Co do mnie, uważam ten pomysł za natchnienie udzielone mi z nieba.

— Ja zaś — odpowiedział p. Kuk — mam odwagę utrzymywać, że nie wszystkie nasze projekta mamy prawo uważać za natchnienie Boga.

Spojrzenia skrzyżowały się, jak dwie szpady zapaśników w pojedynku.

— Namiot, jest dobry na pustyni — dodał p. Snape.

— A czyż my, z naszą religją, nie jesteśmy tu tak samo jak na pustyni, bez schronienia i przytułku? — przerwał p. Simpson.

Pani Simpson korzystając z ogólnego zajęcia, wysuwa bojaźliwie rękę po szklankę z piwem, chwyta ją pośpiesznie, wypija duszkiem i próżną, cicho a nieśmiało stawia na stole, napełniając ją natychmiast powtórnie stautem.

— Co do mnie — rzekł p. Snape — jestem zdania, abyśmy tymczasem kazali dla siebie złożyć kościół żelazny.

— Nigdy! — zawołał p. Simpson — z kościoła żelaznego nie dojdziemy do murowanego, gdy tymczasem namiot jest ruchomy, jak podróżujący kaznodzieja, dźwigający na swoich barkach kościół. Możemy zmieniać miejsca, rozszerzać się, olbrzymieć, rozdzielać jako armja, gdy natomiast żelazny kościół jest odlaną formą, która nas może zatrzymać i uwięzić na początku drogi.

— Żelazny kościół jest zawsze świątynią — odparł p. Snape — gdy namiot budą.

Rachel uczuła potrzebę proroctwa; mrużąc oczy i lekko wychylając rękę, rzekła z mocą:

— Izraelici czterdzieści lat na puszczy pod namiotami chwalili Pana, niosąc arkę przymierza, zanim zbudowali w Jerozolimie świątynię!

Pan Snape spojrzał na siostrę z wyrzutem, pan Kuk nie miał odwagi utrzymywać, że to jest proroctwo, a pani Simpson nie straciła stosownej chwili, aby wychylić drugą szklankę stautu. Pan Simpson uśmiechał się, reszta zaś towarzystwa okazywała niepewność, na którą stronę należałoby się przechylić. Wniesiono paje czyli owoce pieczone w cieście francuskiem.

(C. d. n.)

*) Czytelników, chcących przekonać się naocznie o prawdzie słów moich, proszę do Londynu, a na Farringdon-Road, niedaleko od stacji Farrington, znajdą namiot, a w nim mogą posłuchać kazania pana Simpson za opłatą jednego pena.

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

IV.

Po skończeniu „Lituanii,“ Artur Grottger spędził prawie cały r. 1866 częścią we Lwowie, częścią zaś w Śniatynce, koło Drohobyczy, w majątku przyjaciela swego, hr. Stanisława Tarnowskiego.

Chociaż od dwóch lat ustała walka narodowa, gorąca dusza artysty wracała ciągle do tych scen pełnych tragicznego heroizmu, których widownią była polska ziemia przez szesnaście miesięcy.

W długich zimowych wieczorach r. 1866 chwytał za ołówek, a genialny jego talent odtwarzał nowe sceny, zostające z serjami dotąd opisanemi w bezpośrednim związku. Czasami rzucał także myśli nie odnoszące się do Polski. Wszystkie te rysunki z owego czasu wydano po śmierci Grottgera w serji osobnej, którą nazwano „Zimowemi wieczorami.“

„Zimowe wieczory“ obejmują jedenaście kartonów; z tych sześć odnoszą się do Polski z r. 1863 i 1864, a więc są poniekąd uzupełnieniem „Warszawy“, „Polonii“ i „Lituanii“; pięć zaś następnych należą do całej ludzkości, dla swego kosmopolitycznego charakteru.

Oto głowa młodzieńca o bystrem oku i energicznych rysach. Przez oko rwie się dusza gorąca, a w ustach i lekko zapadłych policzkach widać zuchwałą energję. Oto jeden z tych młodych ludzi, którzy nie słuchając rad i przestróg starszych wywołali zbrojne powstanie. Nie jest to atoli kreacja samodzielna, typ we właściwem tego słowa znaczeniu, czyli mówiąc jaśniej, ideał polskiego młodzieńca. Nie zbyt szlachetny rys zdradza, że to raczej żywy portret osoby podpatrzonej w rzeczywistości.

Rysunek drugi pokazuje nam głowę starca niemniej energiczną i prawie zuchwałą, chociaż włos na niej oddawna śniegiem sprószony. To już nie portret realny, ale raczej typ wypracowany fantazją, tak linja rysu każdego czysta i szlachetna. Patrzcie na tę głowę, czy to nie jeden z tych, których niestety coraz mniej u nas! On nie zachęca młodzieży do szalonych przedsięwzięć, on ją raczej w początku od nich odciąga — ale gdy młódź na koń siędzie i krew lać się zacznie, mimo wieku sędziwego porzuci rolę i rodzinę i stanie jak żołnierz w szeregu. Takim był zawsze prawdziwy szlachcic polski....

Zbliżcie się do rysunku trzeciego. Oto figura w polu, a przed nią klęczy szlachcic chodaczkowy, w dawnym stroju polskim. Wąs jego sumiasty, czoło w głębokie bruzdy poorane; jedną ręką bije się w piersi, prosząc by mu Bóg grzechy przebaczył — a drugą wskazuje na szablę, którą opodal wbił w ziemię, prosząc dla niej o błogosławieństwo. Ojczyzna go woła, więc najpierw pojedna się z Bogiem, a potem pójdzie z innymi.

A co powiecie o kartonie czwartym? Pod rozłożystem drzewem usiadł idealnie piękny mężczyzna bez nogi, bo mu ją w powstaniu nieprzyjacielska kula oderwała. Z namaszczeniem narodowego kapłana, opowiada dwom chłopczykom, którzy przy nim usiedli, dzieje nieszczęśliwej ojczyzny, ucząc zarazem, jak ją kochać należy. Chłopczyk po prawej ręce, to ideał pańskiego dziecka. Z łagodnem spojrzeniem i miękim wyrazem słucha opowiadania, z którego jednego słowa nie uroni. On pójdzie w ślady swoich przodków, bo tak mu serce, uczciwość i honor nakazują; trudy jednak obozowe zaciężą ołowiem na wątłych barkach, a widok krwi może mu łzy z oczu wyciśnie. Rówieśnik jego, to idealnie pojęty chłopiec wiejski. Bosy, w białej koszulinie rzemykiem przepasanej, wpatruje się bystro w twarz swojego mistrza, a ostry rys jego profilu zdradza duszę już dziś żelazną. Jego trudy nie złamią, bo na nim spoczywa przyszłość kraju... Czy znacie grupę idealniej pojętą a równie po mistrzowsku wykonaną?

Na rysunku piątym widzimy mur więzienny, a w nim okno żelazną kratą opatrzone. Pod tym murem przyklękła kobieta, gorzko płacząc. Pięcioletni chłopczyk stoi opodal, a ze wzroku mu wyczytasz, że ból prawdziwy młodą duszyczkę rozdziera. Siostrzyczka jego, młodsza o rok, nie wie jeszcze, co się stało i moralnej boleści nie rozumie, to też chwytając matkę za rękę, woła: — „Mamo! czego ty płaczesz? nie

płacz!“ — Matka płacze, bo za tym murem i za tą kratą, siedzi wasz ojciec, a jej mąż, którego za udział w powstaniu, powiozą jutro na Sybir.... Tych dwoje dzieci — to nowe dwa ideały.

Na kartonie szóstym przedstawił artysta skazańca, który w minach sybiryjskich rudę młotem rozbija. Pełen on prawdy i pełen spokojnej boleści.

Na tym rysunku kończą się kompozycje odnoszące się do historji ostatnich wypadków w Polsce. Jest wprawdzie jeszcze jeden utwór Grottgera, przedstawiający „Pochód więźniów na Sybir“, ale ponieważ autor nie połączył go z żadną serją, przeto aby zbytecznie nie przedłużać pracy niniejszej, poprzestanę na uwadze, że jak wszędzie, tak i tam, Grottger stworzył scenę wzniosłą i harmonijną a obok tego w wysokim stopniu tragiczną.

Powiedziałem wyżej, że „Zimowe wieczory“ obejmują 11 kartonów, z których ostatnie pięć są ogólno-ludzkie.

Na siódmym widzimy przeto Chrystusa, na ósmym Madonnę, na dziewiątym grajka ślepego, na dziesiątym anioła stróża, a na jednastym gondolę, która wśród nocy głuchej płynie po cichem zwierciedle morza. Zatrzymajmy się chwilę przy dwóch przedostatnich.

Grajek siedzi na ulicy i gra przechodniom, obok niego stoi dzieweczka, może jednastoletnia, która opuszczonego ślepca wodzi po szerokim świecie. On gra nie ręką, w której smyczek trzyma, lecz duszą swoją, tak każdy ton czuje głęboko i tak go z głębi serca wyrywa. Cała ta praca wewnętrzna maluje się na jego twarzy. Dziewczę zasłuchane, patrzy żałośnie na snujących się przechodniów, i tym wzrokiem błaga ich o jałmużnę dla nieszczęśliwego. To dziewczę, to ideał małej opiekunki. Za jej plecyma widać ogłoszenia na murze. Na jednem krzyż, więc to karta pogrzebowa, drugie zaprasza publiczność na bal. Stara to i na całym świecie powtarzająca się historja. Jedni umierają, drudzy proszą o jałmużnę, a inni nie myśląc o śmierci i uciekając od nędzy, bawią się wesoło...

Anioł stróż Grottgera, to nie istota skrzydlata, eteryczna, ale zakonnik w twardej włosiennicy, o długiej brodzie i oku wyrazistem, który wspierając się na ramieniu pobożnego chłopczyka, wskazuje mu prostą drogę, którą przez życie iść powinien.

Chłopiec go słucha, bo każde słowo mistrza zawiera głęboką naukę i prawdę świętą. On się tuli pod moralne skrzydła jego cnoty i z duszy opiekuna czerpie sił na przyszłość. Jak Madonna z dziecięciem na ręku, tak i te dwie postacie tworzą nierozdzielną całość. Przedstawcie Madonnę samą, a choćby ją nawet chór aniołów otaczał, nikt jeszcze nie będzie pewnym, czy to Matka Zbawiciela. Beatriczę Dantego, aniołowie także otaczali. Wiedział to Murillo i dla tego u stóp Marji bez dziecięcia potrzebował umieścić półksiężyc symboliczny, po którym dopiero każdy ją poznaje. Odbierzcie temu zakonnikowi tę sierotę, a będzie z niego asceta, który nic nie stworzy i nikogo nie zbawi. W połączeniu z tym chłopięciem staje się on natomiast prawdziwym Aniołem-stróżem.

Przypatrzmy się teraz ostatniej kompozycji Artura Grottgera „Wojnie.“ (C. d. n.)

NA STRAŻNICY.

Nowella Bertholda Auerbacha

przełożył

Mich. Hr. Dz.

Rozdział II.

(Dokończenie.)

Był to chłodny, wilgotny ranek jesienny. Hauenstein ze swą kompanją maszerował na górę, wznoszącą się w samym środku miasta, na której szczycie stała cytadela. Mury i kazamaty nie dozwalały rozpoznać, jak wielką była rozległość góry i jakie mieściła zabudowania.

Znaczna liczba więźniów siedziała tu zamkniętą; nie wielu tylko za pojedynek, reszta za zbrodnie polityczne, rok bowiem w którym zaszło opowiadane tu zdarzenie, był to rok 1850. Ze szczytu góry można było przejrzeć okiem całe miasto z labiryntem domów, rozścielone u podnóża, dalej wysunięte fortyfikacje a za niemi rozrzucone w okolicy wioski.

Hauenstein objął straż od swego kolegi, kazał przedłożyć sobie listę więźniów i wlepił długo wzrok w jedno nazwisko świeżo przekreślone. Wreszcie jakby się chciał wyrwać z tej zadumy, potrząsł gwałtownie głową i rzekł sam do siebie:

— Major ma słuszność; co nam do tego jaki materjał powierzony jest naszej straży, czy to amunicja, czy żywi ludzie“?....

Odbywszy przegląd straży, a czując się znużonym, położył się za taborami. Feldweblowi nakazał, ażeby go niebudzono, gdyby zasnął, i ażeby w takim razie feldwebel sam wydał stosowne rozkazy.

Ale ledwie usnął, zbudzono go. Dozorca więzienia stał przed nim prosząc go o pomoc.

— Cóż tam się stało? Czy może który z więźniów się wyłamał?“

— Nie, bynajmniej. Ale jest jeden więzień, z którym nie wiem co mam począć i obiecałem mu, że przyprowadzę do niego pana porucznika.

— A mnie co do niego?....

— To samo i ja mu powiedziałem, ale człowiek ten gotów sobie wyrządzić co złego, jeśli go nie uspokoimy. Los jego godny jest politowania.

— Któż to taki?

— Numer piąty.

Hauenstein zajrzał do spisu. Był to dawny pisarz od adwokata z jednej z sąsiednich wiosek. Hauenstein ubrał się szybko i pospieszył do celi więźnia.

— Panie poruczniku! zawołał do wchodzącego człowiek z siwą brodą i surowej twarzy, umrę albo oszaleję, jeśli mi pan nie dopomożesz.

— Cóż takiego?

— Otrzymałem list, że żona moja kona. Ostatnim wysiłkiem gasnącego życia woła za mną. Panie poruczniku! Przysięgam ci na to, co mi jeszcze na tym świecie pozostało, przysięgam ci na wszystko, co mi najświętsze, na cześć, jaką mam sam dla siebie i dla prawdy, przysięgam ci, że na godzinę dziesiątą będę z powrotem! Wypuść mnie Pan, pozwól mi ostatnią pociechę zanieść konającej żonie mojej. Ona tyle gorzkich, ach! tyle srogich ciosów doświadczyła w życiu!

— Wszak wiesz pan, co mnie za to czeka, jeśli pana wypuszczę.

— Wiem! I dla tego przysięgam, niech na głowę moją spadnie najsroższa na świecie wina, — ażebyś Pan przezemnie stracił wiarę i ufność w uczciwość ludzką na ziemi, jeślibym zdradził Pana! — A takiej winy nie chciałbym zwalić na głową moją, raczej bym wolał umrzeć. Błagam więc Pana, wypuść mnie Pan na kilka godzin tylko, a na minutę oznaczoną stawię się z powrotem. Panie poruczniku, tyś moim panem ale tyś także synem! Masz ojca, masz matkę. Patrz, ot tam, gdzie ten dym się wznosi — tam żona moja. Obyś mógł usłyszeć także krzyk rozpaczy i boleści, dobywający się z piersi umierającej, z piersi kochającej małżonki! Och kiedyś, gdy tę, która cię kocha, nazwiesz żoną swoją, wtedy Bóg ci to tysiąckrotnie odpłaci! Gdy staniesz z nią przy ołtarzu, niewidzialne błogosławieństwo spłynie na ciebie. A teraz nie myśl już o niczem panie poruczniku, zapomnij o wszystkiem, pamiętaj tylko, że masz serce. Błagam Pana, a głos konającej woła wraz ze mną!

— Zawiadomię natychmiast komendanta.

— O to byłoby za późno.

— Przydam Panu straż.

— Toby Pana zdradziło. O! panie porucznika, pan czujesz moje straszliwe położenie, miej Pan odwagę uwierzyć człowiekowi, a wiara pańska zostanie usprawiedliwioną. Woła do ciebie człowiek zrozpaczony, a konająca żona woła z nim razem. Wypuść mnie Pan na kilka godzin tylko!

— Dobrze, więc niech tak będzie! Nie trwoń Pan więcej sił nadaremnie, będziesz ich potrzebował. Daj mi Pan rękę.

— Oto ręka moja. Każde słowo przysięgi byłoby odtąd bluźnierstwem. Ręka moja powiedziała Panu wszystko, a teraz proszę, nie traćmy chwili czasu, każda chwila może być ostatnią!

Wypuszczono więźnia a Hauenstein powrócił na strażnicę. Nie rozmyślał dłużej nad tem, co się stało; zanadto wiele miał w sobie żołnierskiej natury, ażeby zastanawiać się nad krokiem, który raz uczynił. To co uczynił, uczynił w chwilowym popędzie, fakt został dokonany, dalsze roztrząsanie było zbytecznem. Chciał zasnąć, nie mógł długo, lecz w końcu zwyciężyły młodość i znużenie.

Obudzono go, gdy biła godzina dziesiąta

— Czy numer piąty już powrócił?

— Nie jeszcze.

— Wyjdź na dwór i spojrzyj na drogę, czy nie nadchodzi. Ale wróć zaraz nazad.

Ordynans wyszedł, i po chwili powrócił, oświadczając, że nikogo nie widać.

— Wyjdź jeszcze raz i rozglądnij się dobrze, ja zaraz nadejdę.

Hauenstein ubrał się, przepasał szarfą i wyszedł na most zwodzony. Ztamtąd rozlegał się widok na całą okolicę; oficer przyłożył do oka dalowidz, ale nie widział nikogo. W tem postrzegł z daleka coś czarnego — jakąś postać!.. Był-to pułkownik na swoim siwoszu a za nim ordynans. W pałającą twarz młodzieńca wionęła burza i rzekł sam do siebie: teraz już po mnie!

Pułkownik zbliżał się coraz bardziej, wreszcie zatrzymał się na moście i zapytał:

— Co Pan tu robisz?

— Panie Pułkowniku, dopuściłem się przewinienia, ciężkiego przewinienia.

W krótkich słowach opowiedział Hauenstein swój postępek.

— Dlaczego dopuściłeś się Pan tak ciężkiego przewinienia? Wiedziałeś Pan przecie, co Pana za to czeka. Nie mogę Pana oszczędzić. Zauważałem już wczoraj w Panu sympatję dla pewnego rodzaju przestępców. Idź Pan naprzód! Słyszysz Pan? Idź Pan naprzód, ja zdążę za Panem.

Hauenstein poszedł naprzód, ze schyloną, głową, żołnierze stanęli pod bronią, pułkownik zsiadł z konia, straż została zmienioną, a Hauenstein w izbie strażniczej musiał oddać szpadę i szarfę i został uwięziony. Odprowadzono go do tej samej celi, w której siedział niedawno młody Polak. Na ścianie znać było jeszcze kreski poprzemazywane.

W ponurych myślach zatopiony siedział Hauenstein w celi więziennej. Pierwsza myśl jego nie była o własnej niedoli, lecz o cierpieniu Gabrjeli. Jak ta wiadomość zrani jej serce! Ale niech się dzieje, co chce, trzeba znieść wszystko. O jakaż bezdenna przepaść rozdziela dzisiaj od wczoraj! Jak może człowiek, który z takiem uczuciem przemawiał i przysięgał, być takim kłamcą i zdrajcą. O zaiste, ludzie, którzy dybią na potęgę państwa, dla których żadna przysięga nie jest dość świętą, ludzie, którzy nie umieją dochować wiary wielkiej całości państwowej, czyż tacy ludzie mogą dochować jej pojedyńczemu człowiekowi? Człowiek ten powiedział: niech na głowę moją spadnie najsroższa na świecie wina, ażebyś przezemnie stracił wiarę i ufność w uczciwość ludzką na świecie, jeślibym cię zdradził. Śmieszny jestem! Czyż tak mu trudno będzie tę winę wziąć na swoją głowę.... Prócz goryczy opanowała pierś młodego człowieka skrucha i poczucie winy. I nagle sam do siebie zawołał: także jesteś rewolucjonistą, nagiąłeś prawo i zdeptałeś je, boś mniemał być do tego uprawnionym. Wzruszyłeś skałę porządku społecznego, a teraz ona wali się na ciebie i przygniata cię swem brzemieniem. Wieść ta obiegać będzie z ust do ust, po całej załodze, i w najlepszym razie powiedzą: szkoda Hauensteina, zostanie zdegradowanym. Był dzielnym żołnierzem i miał widoki dostać się do sztabu jeneralnego. Ale cóż z tego, w głębi duszy był rewolucjonistą!...

Rozdział III.

O tej samej porze, kiedy Hauenstein samotny siedział w celi więziennej, w domu gubernatora panowały wesołość i dobry humor. Po świetnym, udałym balu, następny poranek ma swój urok szczególny. Liczna i wprawna służba uprzątnęła każdy ślad minionego balu.

Pokój służący do śniadań, urządzony wygodnie i z komfortem, świadczył zarazem o wytwornym smaku młodej gosposi. Na kominku buchał ogień wesoły, a na stole w dwóch wazonach z matowo-zielonego szkła weneckiego stały bukiety z wczorajszego balu.

W tem wszedł do pokoju gubernator. Gabrjela serdecznie powitała ojca mówiąc:

— Musisz być kontent, ojczulku, że tak pięknie, w takiej miłej harmonji spłynął wieczór wczorajszy. Ja wierzę tym, którzy nas zapewniali że spędzili u nas kilka przyjemnych godzin. Ale czemuś, tak chmurny, ojczulku?

— Sądzę, żeś powinna mi była powiedzieć, że będziesz tańczyć kotyljona z porucznikiem Hauensteinem. Zdziwiło mnie to i sądzę, że i innym to wpadło w oczy. Dlaczego tańczyłaś z nim?

— Dlaczego? Bo jest najlepszym tancerzem w całym garnizonie, a i ty, ojczulku, dobre o nim miałeś mniemanie. Wszak nieraz opowiadałeś mi, jakim zacnym kolegą był jego ojciec.

— Wszystko to bardzo pięknie i wreszcie nie było w tem nic nieprzystojnego, ale, jak powiedziałem, biło to wszystkich w oczy.

— A to czemu, ojczulku?

— Widzisz, moje dziecko. Jesteś dobrą i rozsądną córką, a ja nie jestem tyranem dziecka mojego. Ale tyle ci powiem: wchodzisz teraz na wielki świat i bolałoby mnie to niezmiernie, gdybyś się miała wdać w coś, czegobyś później może żałowała. Pragnę, ażebyś kiedyś całą twą duszę oddała temu, do którego należeć będziesz i ażeby pierwej myśl twoja nie postała na żadnym mężczyźnie. Dlatego pragnę dla własnego dobra twojego, ażebyś nie czyniła nadziei nikomu, zanim sama świat poznasz i zanim świat ciebie pozna. Nikomu! rozumiesz moje dziecko — nawet sobie samej.... Prawda, że mnie rozumiesz?...

Gabrjela w milczeniu skinęła główką a gubernator nie napierał też na nią o odpowiedź. Wiedział, że córka jego wiernie przyjmuje każde z jego strony upomnienie.

Służący przyniósł w tej chwili na tacy kilka listów. Gubernator wziął jeden z nich do rąk i oddając go Gabrjeli, rzekł:

— Oto list do ciebie od ciotki twojej, hrabiny Truben.

Gabrjela rozłamała pieczęć listu i poczęła czytać. Ojciec jej tymczasem przejrzał szybko resztę listów. Odłożył je wnet na bok i zapytał:

— Cóż pisze ciotka? Opowiedz mi najgłówniejsze.

— Oto pisze mi, odparła Gabrjela, następującą rzecz: Księżnej podobała się twoja fotografja, upatruje w tobie wielkie podobieństwo do nieboszczki twej matki. Chciałaby jeszcze tylko przeczytać jeden list pisany przez ciebie, ażeby mieć również wizerunek twojego usposobienia i charakteru. Nie posiadam jednak takiego, którybym jej mogła pokazać. Napisz mi przeto list popisowy, wystosowany wyłącznie do mnie, któryby jednak nie zawierał nic takiego, czegoby księżna nie mogła przeczytać.

— Cóż mam napisać? zapytała Gabrjela.

— Opisz bal wczorajszy. Ale tylko po prostu, bez pretensji. To będzie najlepiej.

Gubernator zapalił cygaro, w tej chwili oświadczono mu, że ordynans przybył.

— Niech wejdzie.

Gabrjela oddaliła się szybko. Młody chorąży wszedł i zdał sprawę z tego, co popełnił Hauenstein.

— Jak to być może? zawołał gubernator, po części sam do siebie. Jak mógł uczynić coś podobnego? Wszak nie miał prawa do tego.

Chorąży nie odrzekł ani słowa, nie śmiąc odpowiedzieć, zanim by wprost nie został zapytanym. Gubernator wrócił do niego i rzekł:

— Dobrze. Idź i powiedz, że wkrótce przybędę. Czy został uwięziony?

— Według rozkazu.

Chorąży oddalił się, a gubernator rozkazał, ażeby mu osiodłano konia.

Gubernator nie namyślał się długo nadtem, czyli ma Gabrjelę zawiadomić o tym wypadku. Rozkazał ją przywołać i rzekł:

— Porucznik Hauenstein złamał swój obowiązek w sposób nader gorszący. Zostanie stawiony przed sąd wojenny. — Tu zamilkł. Gabrjela nie zdradziła po sobie najmniejszego wzruszenia i głosem spokojnym zapytała:

— Jakież jego przewinienie?

Gubernator w krótkich słowach opowiedział jej postępek Hauensteina a potem dodał:

— Zostanie wprawdzie skazany na śmierć, ale rozstrzelanym nie będzie.

— A, teraz pojmuję przyczynę jego smutku wczorajszego! zawołała Gabrjela; jakże on mógł powiedzieć, że mu dopomódz nie mogę? Wszak mogłam go odwieść od tego postępku, powinien mi był wszystko wyjawić. Jak mógł tak lekkomyślnie zniszczyć i zatrzeć życie nasze, dla tak błahej i drobnej przyczyny!...

Gubernator miał już powiedzieć, że obawia się, iż upomnienie jego przyszło za późno; wstrzymał się jednak od tej uwagi i rzekł:

— Gabrjelo, dobrze że ja sam tylko z ust twych słyszałem coś podobnego, spodziewam się jednak, że i to będzie po raz ostatni. Uspokój się i dziękuj Bogu, że jeszcze zawczasu ustrzegł cię przed zboczeniem.

— Ależ ty sam, ojczulku, kochałeś go przecie i szanowałeś.

— Nie przeczę, ale teraz zgubił sam siebie na zawsze. Szkoda go! Szczęście że ojciec jego nie dożył tej zgryzoty. Ach, ten świat, ten świat; och! ta młodzież!

Gubernator wsiadł na konia i odjechał na cytadelę. Jadąc pod górę, spostrzegł nagle człowieka, który zadyszany, machając rękami, biegł za nim. Powstrzymał konia, a człowiek ów z bladą, zmienioną twarzą, zbliżywszy się do niego, zawołał:

— Jakie szczęście, że spotykam pana, panie gubernatorze.

Był to ów więzień wypuszczony. Opowiedział gubernatorowi, że Hauenstein wypuścił go na kilka godzin z więzienia, że mu obiecał powrócić, zanim straż zmienioną zostanie, ale obietnicy swej dotrzymać nie mógł, gdyż przyszedłszy do domu, zastał swą żonę pogrążoną w głębokim śnie. Przez trzy dni nie zmrużyła oka, wołając wciąż za nim. Siedział przy jej łóżku, godzina za godziną upływała, chciał się oderwać, ażeby dotrzymać słowa, lecz nie miał siły na to. Wreszcie ocknęła się chora i na rękach jego wyzionęła ducha. Błagał, ażeby nie karano biednego porucznika za to, iż na chwilę pod mundurem żołnierskim odezwało się w nim serce ludzkie.

Gubernator rzekł tylko:

— Dobrze. Idź pan i zgłoś się u dozorcy więzienia.

Zawrócił konia i zawahał się, czy ma Gabrjelę uwiadomić, że więzień dobrowolnie się stawił. Jeżeliby uwiadomił o tem Gabrjelę, byłoby to z jego strony jakby milczącem przyzwoleniem... Nie, lepiej niech cierpi, a może ta boleść wykorzeni zupełnie tę miłość z jej serca. A zresztą, Hauenstein w każdym razie zostanie ukaranym i zachwieje przeto na zawsze zaufanie do swej osoby.

Gubernator, powróciwszy do domu, zapytał o córkę. Odpowiedziano mu, że wyjechała. Dokąd? Do tej samej wsi, w której mieszkała rodzina więźnia. Koń stał jeszcze osiodłany, gubernator dosiadł go i udał się do rzeczonej wioski. Tam zastał Gabrjelę w domu, gdzie umarła żona więźnia, zastał ją przy córce więźnia. Gabrjela wybiegła naprzeciwko niego i zawołała radośnie:

— Więzień dotrzymał słowa! Hauenstein będzie wolny!

Gubernator wsiadłszy razem z córką do powozu, rzekł:

— Jak mogłaś ty, córko moja, zapomnieć się do tego stopnia, i pojechać w podobne miejsce?

— Ojcze mój, właśnie dlatego, że mam to szczęście zwać cię ojcem moim, właśnie dlatego, żeśmy wzrośli i że żyjemy w stosunkach zapewniających nam byt bezpieczny, właśnie dlatego

obowiązkiem naszym jest wspierać zbłąkanych i być dla nich kierownikami.

Gubernator spojrzał zdumiony na córkę. Przez ten jeden dzień, zdawało się, że duch jej dojrzał, spotężniał i wyszlachetniał.

Z powrotem do domu, zamknęła się Gabrjela w swoim pokoju i pisała przez cały dzień i przez całą prawie noc następną.

* * *

Było to wieczorem. Na zamku książęcym siedziano przy herbacie.

— Kochana hrabino Truben, rzekła księżna, nie otrzymałaś jeszcze listu od twej siostrzenicy?

— Owszem. Oto jest. — I wręczyła księżnej list Gabrjeli. Rzuciwszy nań okiem, rzekła księżna:

Ależ to obszerny list. Odczytaj mi go, hrabino.

Hrabina odczytała list swej siostrzenicy, pełny ognia i uczucia. Była w nim mowa o śmierci młodego Polaka i o powrocie wypuszczonego więźnia, a wśród tych wypadków sama przez się jaśniała postać Hauensteina w szlachetnem świetle. Do głębi poruszającym był również opis rodziny i tej sceny, kiedy biedny więzeń odrywał się od zwłok ukochanej małżonki... Jeden wszelakoż ustęp w liście został po dwakroć odczytanym. A ten opiewał: „Świat nowy zupełnie otworzył się przedemną. Są to ludzie osobnej religji, którą zwą: wolność, i są w stanie ponieść dla niej najsroższe męczeństwo. Nie zasługująż oni także na miłość i na przebaczenie? W prawdziwość swej religji wierzą niezłomnie. Stojąc obok dziewczęcia, którego ojciec był w więzieniu a matka leżała na marach, zawołałam w głębi serca: o, szczęsnym, stokroć szczęsnym jest ten, kto z wysokości tronu może na taką niedolę zlewać łaski i przebaczenia!“...

W kilka dni później przybył list ułaskawiający. Nasz więzień otrzymał ułaskawienie i razem z swą córką udał się w obce kraje.

Hauenstein został skazany na dłuższe więzienie w twierdzy. Dopiero przy szturmie okopów pod Düpplem powiodło mu się odzyskać w zupełności cześć wojskową razem ze sławą wojenną.

Miłość dwojga kochanków zwyciężyła wszystkie przeszkody i przeciwności.

W liście, który pisał nasz wychodźca do Hauensteina przed ślubem, życząc mu szczęścia, ustęp jeden opiewał następująco:

„I panu i mnie wyrządziła ta zacna istota wiele dobrego i wiele szlachetnego; Bóg da jej łaskę i pozwoli jej dopełnić jeszcze wielu dobrych i pięknych uczynków przez ciąg długiego życia.“

K o n i e c.

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Popasłszy i napoiwszy konie w rzeczce, płynącej przez obóz, pomaszerowaliśmy dalej — ale pierwej jeszcze zastaliśmy kilka pieców piekarskich obozowych, na boku, kilkunastu moskiewskich piekarzy, i z 1000 bochenków świeżego chleba. Zabrano w niewolę piekarzów, a chleb na prędce między żołnierzy rozdzielono, ku wielkiej ich satysfakcji; bo tak pięknego i świeżego chleba dawno nie mieli. Maszerowaliśmy ile możności pospiesznie, wieczór się zbliżał, niebo się zachmurzyło, księżyc w ostatniej kwadrze, więc ogromnie ciemno być zaczynało. Dochodziliśmy do wsi Mokobód, pod tą wsią musiał stanąć obóz, ale nie wolno było ani ognia ani fajki palić. Generałowie Tomicki, Bukowski (smutnej pamięci) i Miller, adjutanci ich i ja pojechaliśmy do wsi, gdzie na folwarku przygotowana była kwatera. Przed bramą pozsiadaliśmy z koni, piechotą przez dziedziniec idziemy; nikt nie widział co na ziemi leżeć mogło; w tem słyszę głos Bukowskiego, który zaklął okropnie, padając przez leżącego wołu na dziedziniec, ale zerwał się i zawołał: „Diablem się potłukł, ale rano będzie bifsztyk!“ Trzeba wiedzieć, że Bukowski był wielki gourmand i gracz zapamiętały. — Woły te, co na dziedzińcu leżały, były rzeczywiście zarekwirowane dla naszej dywizji. Zaraz je tedy pozabijano i przygotowano do dystrybucji przed wymarszem. Równo ze wschodem słońca maszerowaliśmy dalej, i stanęliśmy na przeciwko S i e d l e c pod wsią H o d o w e m, która to wieś od Siedlec bagnami, łozami i rzeczkami oddzieloną była, a połączona z miastem długą na ćwierć mili prostą ale dosyć wąską groblą, na której było kilka mostków.

Zastanowiło nas wszystkich, że mostki nie tylko porozbierane nie były, ale nawet świeżo ponaprawiane. Podpułkownik Kasparowski, szef sztabu dywizji, wziął pluton 4tego ułanów i pojechał kłusem przez groblę, żeby zrekognoskować, co się rzeczywiście w Siedlcach dzieje. Namawiał i mnie do tej wyprawy, ale instynktowo nie miałem do niej ciekawości. Moskale zawiadomieni przez szpiegów, że się do Siedlec od strony Hodowa zbliżamy, obsadzili łozy na bagnach po obudwóch stronach grobli, i ani noga z tego plutonu nie byłaby wyszła, gdyby nie niecierpliwość jakiegoś młodego oficera, który zawcześnie kazał swemu oddziałowi dać ognia; zaraz pokazały się głowy bataljonu strzelców siedzących w błocie, a gdy Kasparowski zakomenderował odwrót, i wielkim galopem, przez groblę leciał, cały bataljon sypał na nich gęsty tyralierski ogień. Szczęśliwie dostali się do nas; jeden tylko ułan został lekko ranny, ale z konia nie spadł.

Zaraz po tych strzałach, wystąpiło na piaski z miasta naprzeciw grobli 9 bataljonów piechoty w szyku bojowym i 12 szwadronów jazdy, z odpowiednią artylerją, ale nie kusili się przechodzić grobli, tylko w takiej pozycji, aż do wieczora stali. Umieściliśmy naszą baterję konną ukrytą we wsi, a 4 działa stały koło karczmy murowanej nie daleko od grobli. Moskale do nas nie strzelali, aczkolwiek staliśmy tylko od siebie na mały strzał armatni. Myśmy także nie rozpoczynali ognia, czekając ciągle co zrobi dywizja Milberga co szosą pomaszerowała. Tak przeszedł na wzajemnej obserwacji dzień cały. Nakoniec przed samym wieczorem, przyleciał do nas adjutant Milberga z raportem: że ponieważ mosty na szosie porozbierane i popalone, a przejście bokiem dla bagien nie możliwe, więc dywizja piechoty cofa się nazad ku Kałuszowi. — Nie wypadało nam nic innego zrobić, jak tylko czekać zmroku, żeby mosty na grobli porozbierać, i odwrotny marsz przedsięwziąć.

Zaledwie zaczęliśmy mosty rozbierać, baterja moskiewska w łozach ukryta rozpoczęła ogień granatami dobrze wymierzony, bo prawie wszystkie albo na most główny, albo na karczmę murowaną padały; — koło tej karczemki stanęli generałowie i kilkunastu oficerów ze sztabu, żeby widzieć jaki skutek nieprzyjacielskie pociski na mostek, a nasze strzały na Moskali wywierają? Do tego kółka naszego, które tak wyglądało jak koło przed rozpoczęciem mazura w par kilkanaście, przyłączyło się także kilku żydów. Raptem wpada granat w sam środek i pęka; czerepy posypały się jak spłoszone stado wróbli. Żydy wszystkie na ziemię się potoczyły, adjutantowi Tomickiego, kapitanowi Plagowskiemu jeden czerep zerwał epoletę, a drugi furażerkę z głowy; ja miałem przy sobie konia, którego cugle przez ramię przewieszone były; huk pękającego tak blisko nas granatu, przestraszył mego konia, który się cofnął raptem i szarpnąwszy mnie nawznak wywrócił. Wszyscy mnie mieli za zabitego wraz z Żydami, aleśmy się zdrowi pozrywali. Żydy poznikali gdzieś, a my, nie czekając powtórnego nawiedzenia granatu, porozchodziliśmy się pojedynczo ku obozowi, który już wyszedł z donośności strzałów.

Mosty z bardzo małą stratą ludzi porozbierano; noc zaszła i dywizja w pochód się udała.

Dochodząc znowu do Mokobód, usłyszeliśmy tyralierskie strzały karabinowe za nami. Na ten huk, wysłano zaraz mocny patrol dla dowiedzenia się, kto się z kim bije. Patrol już nikogo nie zastał, tylko leżących kilkanaście koni i kilkunastu ludzi częścią zabitych częścią rannych. Między ostatnimi był oficer strzelców konnych z przestrzeloną ręką, który pod koniem leżał. Wyswobodzono go z tej smutnej pozycji i przyprowadzono jako jeńca do sztabu. Zapytany, opowiadał następujące wydarzenie: „Generał moskiewski, Pahlen IIgi, nie mając tyle jazdy żeby skutecznie nas zaatakować, wysłał po cofnięciu się naszym brygadę huzarów, ażeby usiłowała bokami nas wyprzedzić i przed Mokobodami rozebrała most wysoki na błotnistej rzeczce, żeby nasz pochód wstrzymać, a potem piechotą na nas napaść i znieść. Nie ufając jednak w brygadę dość słabą huzarów, wysłał w pomoc dywizjon strzelców konnych za nimi. Z powodu bardzo ciemnej nocy, huzarzy błąkać się zaczęli, a gdy ich niespodzianie spotkał oddział strzelców, a któryś (jak się to często wydarzało) po polsku krzyknął „k t o i d z i e“ odpowiedziano flankierskim ogniem, który rzęsisto więcej kwadransa szedł z jednej i z drugiej strony, nim się poznali i opamiętali.“ (C. d. n.)

POGRZEB
Murada-Baszy
w ALEPPO.

Wiersz Zygmunta Krasińskiego,

nie zamieszczony w zbiorze jego poezji.

CHÓR MOŁŁACHÓW:

Za łaską Ałłaha, z ciemności tumanu,
Giaur prawdę obaczył przy świetle Koranu,
Dziś w rzędzie wybranych go liczym —
I w świętej Islamu pogrzebion jest ziemi
Pod cieniem cyprysów odpocznie z wiernemi,
Z zwróconem ku Mecce obliczem.

Duch jego już doszedł rajskiego siedliska,
Gdzie źródło roskoszy bez przerwy wytryska
I z każdą powiększa się chwilą —
Już roje hurysek czekają zebrane,
I piersi łabędzie i usta różane
Z uśmiechem ku niemu już chylą.

CHÓR RENEGATÓW:

Mąż to był lwiego serca — mąż orlego rodu!
Na błoniach Ostrołęki — w górach Siedmiogrodu
Pamięć Bema wiecznie trwa!
Wielkich jego czynów sierocy świadkowie
Złóżmy wieniec bluszczu na tej orła głowie,
Na tem wielkiem sercu lwa!

GŁOS POLSKI:

O ty biedny synu mój!
Na dziecięcą twoją skroń
Kapłana bożego dłoń
Lała chrztu świętego zdrój.
Dziś — nie święty tobie dzwon,
Nie kościelnych hymnów dźwięk,
Lecz Mołłachów sprośny jęk
Na samotny zabrzmiał zgon.
Bóg niech sądzi żywot twój!
A tu, za zasługi twe,
Ja ci rzewną daję łzę,
O ty biedny synu mój!

DUCH BEMA:

Nowych mąk -- dawnych zgryzot znikła gorycz cała —
Słodkiem syna imieniem matka mnie nazwała.
W jej głosie przemówiły polskich serc miljony —
A jej łza poświęciła grób nie poświęcony.
O, może ta łza jedna za wieczności progiem
Będzie orędowniczką przed ojców mych, Bogiem!
I może . . . .
Bo ty wiesz — droga matko, o ty, której łono
Tylekroć już zabójczym mieczem przebodzono,
Jak ciężkie obce więzy, gorzki chleb tułaczy —
I do jakich przepaści wtrąca wir rozpaczy!
Ty wiesz, że nie przez dumę, ni chęć marnej sławy,
Lecz na to, by z twym wrogiem bój odnowić krwawy,
I pod obcym sztandarem służyć sprawie bratniej,
Chwyciłem za półksiężyc jak za lont armatni!

PIELGRZYM CHRZEŚCIJANIN:

Straszny, wielki jest gniew Twój, lecz większe jest Panie
Łaski Twojej zmiłowanie!
Nie odepchnąłeś Piotra, choć w wielkiej potrzebie
Po trzykroć zaparł się Ciebie.
Przebaczyłeś łotrowi, gdy w skonania dobie
Pokornie westchnął ku Tobie.
O! zwróć i na zaprzańca litościwe oko,
Jeźli żałował głęboko.
Bo straszny, wielki gniew Twój, lecz większe jest Panie
Łaski Twojej zmiłowanie! ..

POGADANKI.

VI.

W poprzednim numerze *Tygodnia* doniesiono, iż Węgrzy zamierzając postawić pomnik Bemowi, postanowili oraz starać się o przeniesienie jego zwłok z Aleppo do Maros-Vasarhely (czytaj: Marosz-Waszarhej) głównego miasta ziemi Szeklerów w Siedmiogrodzie. Jednocześnie wyrażono myśl, czyli nam nie wypadałoby upomnieć się o te zwłoki. Podobne zdanie wypowiedział także *Dziennik Polski*, i niezawodnie wyraził tylko uczucia, przejmujące każdego Polaka na wzmiankę o Bemie. Zachodzi atoli wątpliwość, czyli ciche nasze życzenia i poparte interwencją dyplomatyczną zamiary Węgrów, uwieńczone być mogą jakimkolwiek skutkiem. W Aleppo nie wiedzą nic o Bemie; spoczywa tam na cmentarzu muzułmańskim nie rycerz z „Lechistanu,“ który od kolebki do trumny jedną miał tylko kochankę, Polskę; nie jenerał węgierski, który zadziwił Europę czynami przypominającemi Miltjada i Ksenofonta; nie tułacz bez dachu, którego światami gnała trawiąca tęsknota za krajem rodzinnym — tam, osłonięty sierpem pół księżyca, drzymie trzytulny basza, wyznawca Koranu, wysoki dostojnik w ottomańskiem państwie. Nie wiem, czy potęga padyszacha będzie dość wielką, by wbrew prawowiernemu pietyzmowi Muzułmanów można ruszyć te prochy z ich miejsca spoczynku.

Jedyna to, w naszym zwłaszcza wieku, postać — olbrzymia osobistą swoją dzielnością, za życia jeszcze opromieniona aureolą legendy, po śmierci, sporna trzech narodów własność! Bem nie był Napoleonem w miniaturze — jako wódz i jako duch polityczny, był on całym Napoleonem, wyjętym tylko z ram, jakie tamtemu utworzyły były stosunki współczesne. Przerósł on zaś Korsykanina tem, iż nie wyparł się małej i biednej skiby ojczystej, dla wielkiej i potężnej: kiedy przyjął wiarę i służbę turecką, wisiała na widnokręgu nakształt bliskiej burzy, owa wielka wojna z Moskwą, której nie dożył, i która byłaby wzięła obrót zupełnie inny, gdyby on był wodzem armji tureckiej. Niestety, strawił życie w miłości ku Polsce, a w nienawiści ku Moskwie, nie było danem jemu, widzieć sromotną ucieczkę Paskiewicza i słyszeć u brzegów Prutu spiże, grzmiące jak „podzwonne po niewoli, na pogrzebny obchód carom!“ Tam, według przepowiedni Wernyhory, według wiary ludu na Rusi, stoczyć się miała pierwsza, stanowcza już walka. Ztamtąd ku mogiłom za Bohem, ku owej dolinie Hanczarychy, na wschód i na północ iść miał pochód zwycięzki, i Wisła miała krwią spłynąć, i poić potem wodą z Tatr angielskie i tureckie konie. Pamiętam, jak dziećmi, w owym roku oczekiwania, wybiegaliśmy ze szkoły, w gęsty las przez który prowadzi „czarny szlak“ tatarski i gdzie są zwaliska monasteru czerńców, wyrżniętych przed dwomaset laty — i jak przykładaliśmy ucho do ziemi, czy nie słychać od Chocima grzmotu dział sułtańskich, zwiastujących już nie rzeź i nie jasyr, ale wybawienie z niewoli. Pamiętam, jak lud prosty nie chciał wierzyć w śmierć Bema, jak nadsłuchiwał i zapewniał, że dzwony cerkiewne wyraźnie wymawiają jego nazwisko. Ale on spoczywał daleko, w skwarnym kraju Seleucydów, i czarny szlak nie niósł ku nam odgłosu wystrzałów, nie zajęczał tententem koni. Wojna pociągnęła się w Krym, pod Achtyr, rzucono jej na pastwę pół miljona ludzi i zawarto pokój:

„Nie wierzcie Frankom, bo ich król
„Bez wiary jest, i kupczy krwią!“

Nie lada to musiał być człowiek, którego imię z odległych stron, z pośród gwaru obcych bojów, obiło się o strzechy naszych włościan, tak nieprzystępne wszystkiemu, co bezpośrednio z niemi się nie styka. Godzi się też wspomnieć o nim od czasu do czasu, a w obecnej chwili, kiedy Węgrzy przypomnieli sobie, że mają dług wdzięczności do spłacenia, wydało nam się stosownem powtórzyć w *Tygodniu* przecudny wiersz Krasińskiego, w odpisach tylko nielicznych znajdujący się w kraju. Jeżeli się nie mylę, wiersz ten drukowany był raz tylko, w piśmie literackiem, którego roczniki są teraz rzadkością bibljograficzną, jaką w ogóle po pewnym przeciągu czasu stają się pisma perjodyczne. W tych zwłaszcza czasach biorącego górę sentymentalnego niby-pansławizmu, który jest tylko oznaką zwątpienia w samodzielną żywotność narodu, dobrze jest odżywić wspomnienie męża, co wiedział gdzie szukać naszych przyjaciół i nieprzyjaciół, i umiał tamtych kochać, a tych nienawidzieć i gromić. Do wiersza Krasińskiego dodają zresztą teraz Węgrzy głos, którego tam niedostaje — stawiają pomnik Bemowi i upominają się o jego kości, bo mają do nich po nas największe prawo.

* * *

Od dłuższego czasu, uczestnicy austrjackiej wyprawy do bieguna północnego, odbierają hołdy, które im się słusznie należą, chociaż rezultat ich usiłowań nie jest może tak ważnym i wielkim, jak rozgłoszono. Sama trudność przedsięwzięcia i dwuletnia *villeggiatura* w lodach u 80go stopnia szerokości północnej, jest już niemałym tytułem zasługi. Nie należy oceniać tego, co osiągnęli Wejprecht i Pajer, za pomocą porównania z wyprawami angielskiemi i amerykańskiemi. Im dalej ku wschodowi od południka wyspy Ferro, tem trudniej dostać się na północ — nieprzebyta zapora lodów jest tutaj bardziej wysuniętą na południe i klimat nierównie ostrzejszy, niż na zachodniej półkuli. Dość jest rzucić okiem na mapę, aby się przekonać, że począwszy od cieśniny Berynga, wzdłuż brzegów sybirskich aż ku Europie, ocean Lodowaty najmniej jest zbadany. Od strony amerykańskiej wyprawy są łatwiejsze, i właśnie teraz ogłoszono sprawozdanie z podróży amerykańskiego kapitana Hall, które w nierównie ponętniejszem świetle przedstawia okolice u bieguna północnego, niż doświadczenia austrjackich żeglarzy. Nim p. Tatomir obznajomi czytelników *Tygodnia* obszerniej z odkryciami jeograficznemi w tym kierunku, wspomnę tutaj, że Hall dotarł na statku amerykańskim do szerokości 82 stopni i 11 minut, i że stwierdził nadto, iż pod 84° znajduje się jeszcze otwarte morze. Na nieszczęście karność nie była u Amerykanów tak wzorową, jak na pokładzie „Tegetthofa,“ komendant statku, zaglądający zbyt często do flaszki z whiskey'em, wrócił się wbrew woli Halla, który umarł w ciągu wyprawy. Zimowano jednakowoż pod 81° 38″ półn. szerokości, i temperatura najniższa wynosiła 20·8 stopni Réaum. (26 Cels.) W lecie skonstatowano ślady pobytu Eskimosów w tej okolicy, około 470 mil austrjackich bliższej bieguna północnego, niż n. p. Lwów albo Kraków. Fauna i flora okazały się dość obfitemi. Oprócz mchów i innych roślin skrytopłciowych, rosną tam i fanerogamy, kwitnące niebiesko i czerwono. Są i lasy — z karłowatych wierzb, mających pół stopy wysokości. Stada wołów piżmowych (owco-wołów) dostarczały podróżnym świeżego mięsa — oprócz tych zwierząt, spotykano w wielkiej ilości lisy, zające, rozmaite gryzonie, mnóstwo ptactwa, nakoniec muchy, komary, nawet pszczoły. Samo przez się rozumie się, że nie brakło niedźwiedzi białych, skoro jest ich tyle w niegościnnym kraju „Franciszka Józefa.“ Przyroda w szczególny sposób pamiętała o tych bestjach. Najpierw, morze roi się kolosalnemi mięczakami, które służą za pokarm psom i t. d. morskim. Gdy się te najedzą, padają łupem niedźwiedzi. Oczywista rzecz, że wegetarjanizm nie znajduje tam zwolenników, natomiast prosperuje hidropatja, i nie spotkano w skutek tego ani jednego niedźwiedzia, któryby się skarżył na reumatyzm.

* * *

Nawał materjału w *Tygodniu* zmusza mię do położenia tamy gadatliwości moich „Pogadanek“ w tym numerze; — zostaje mi jeszcze atoli tyle miejsca, by wspomnieć o ciekawej książce, która właśnie wyszła z druku we Lwowie. Jest nią „Rumunia“ p. W. autora dzieła „Żydzi i kahały.“ Jest to rys dziejów ludu i kraju rumuńskiego, wraz z obszerniejszym poglądem na dzisiejsze jego stosunki. Opowiadanie żywe i zajmujące, pełne ciekawych i nieznanych u nas szczegółów, pobudzi do uważnego przeczytania tej książki każdego, kto ją weźmie do ręki. Jest

to pierwsza u nas obszerniejsza praca, traktująca o kraju, z którym łączą nas liczne stosunki, który grał niemałą rolę w naszej historji, i który teraz jeszcze, na mocy swojego położenia, zwracać na siebie musi naszą uwagę, i kto wie czy nie oddziała pośrednio na nasze losy. Książka pana W. będzie tedy dla każdego z nas nietylko ciekawą, ale i pożyteczną lekturą.

Jan Lam.

Przegląd podróży i odkryć w świecie arktycznym,

zestawił

L. Tatomir.

Podróże do północnych okolic podbiegunowych są dzisiaj na porządku dziennym, i wszystkie towarzystwa geograficzne i pisma geografji poświęcone z wytężoną ich postępów śledzą uwagą. Nim zapiszemy tutaj ostatnie w tym kierunku wysilenia, nie będzie, zdaje nam się, od rzeczy zestawić w krótkim przeglądzie historycznym dawniejsze na tem polu prace, aby o nie oprzeć najnowsze rezultaty i dzisiejszy stan kwestji polarnej.

* * *

W pierwszych wiekach po odkryciu Ameryki, rozwinął się handel powszechny do takich rozmiarów, jakich wieki średnie nawet nie przeczuwały. Zawiązywanie stosunków handlowych i zakładanie kolonij po najodleglejszych krańcach Wschodu, gromadzenie bogactw przez wymianę płodów i wyrobów własnego kraju za towary chińskie i indyjskie, stało się hasłem wszystkich żeglarskich narodów Europy. Ale podróże z Europy na ocean Spokojny i do Kataju, jak podówczas Chiny nazywano, były długie i niebezpieczne. Towar musiał być przewożonym albo karawanami przez stepy Azji, albo dłuższą jeszcze drogą morską, okrążając przylądek południowy Afryki lub Ameryki. Przemyśliwano tedy nad odkryciem nowej, bliższej drogi do wschodniej Azji, a nie znając jeszcze dokładnie, jaką są przeszkodą dla żeglugi lody mórz podbiegunowych, postanowiono szukać jej wzdłuż arktycznych wybrzeży Azji i Ameryki. Dopięcie zamierzonego celu zdawało się tem niewątpliwszem, gdyż trzymając się Pliniusa, wyobrażano sobie, że północna Azja wybiega w przylądek Tabin, około którego otwiera morze najprostszą przeprawę do Chin i Indji, a o szerzkości kontynentu północnej Ameryki rozpowszechnione były od czasów Cabota i Cortereala najfałszywsze wyobrażenia, które oszuści geograficzni, jak Chaque, Urdanieta, de Fuca, zmyślonemi opisami w interesie Hiszpanów utwierdzali.

To dało pierwszy impuls do podróży i odkryć na oceanie arktycznym, po którego niegościnnych wodach, od czasów awanturniczych wypraw Normandów i ekspedycji niemieckiej na morze Islandzkie z r. 1040 aż do owej chwili, żaden statek europejski nie krążył.

Po największej części ze składek prywatnych wyprawili tedy Anglicy i Holendrzy pierwsze w czasach nowożytnych ekspedycje w te strony, spodziewając się, przez odkrycie nowych dróg północnych dla swojego handlu, zadać cios śmiertelny stosunkom handlowym współzawodników swoich, Hiszpanów i Portugalczyków, podkopując stanowczo znaczenie dróg południowych: hiszpańskiej około południowej kończyny Ameryki i portugalskiej około przylądka Dobrej nadziei.

Najprzód rzucono się do szukania północno-wschodniej przeprawy wzdłuż wybrzeży północnej Europy i Azji. Anglicy wysłali w tym celu (1553) trzy statki pod kapitanami W i l l o u g h b y i C h a n c e l l o r na północny wschód. Ale z tych jeden tylko dotarł do Archangielu, gdyż Willoughby znalazł z całą załogą swojego okrętu śmierć na wybrzeżach Laponji. Chancellor, udawszy się ztamtąd lądem do Moskwy, zawiązał nadzwyczajnie korzystne dla Anglji stosunki handlowe z w. kniaziem moskiewskim. Dwie jeszcze wyprawy wysłali Anglicy w te strony wspólnie z Moskalami, pod Stefanem B u r r o u g h (1556) i Arturem P e t (1580), które dotarły aż poza ujście Peczory do wyspy Wajgacz i do morza Karyjskiego. Ale już od r. 1584 zaniechali dalszych w tym kierunku podróży, obawiając się nieporozumień z Moskwą, któreby mogły przynieść szkodę ich handlowi, i zwrócili, wyjąwszy jedną wyprawę H u d s o n a, wszelkie usiłowania ku północnym wybrzeżom Ameryki. Dłużej wytrwali na tem polu Holendrzy. Wyprawy ich podróżników: N a i a, H e e m s k e r k a i B a r e n t s a (1596) nie posunęły wprawdzie dalej ku wschodowi odkryć Anglików, ale dotarły zato na północy do Nowej Ziemi i do Spitzbergen, na której-to ostatniej wyspie założyli wkrótce Holendrzy wielką stacje rybacką dla połowu fok i wielorybów.

Anglicy tymczasem byli już od lat dwudziestu na wodach północno amerykańskich czynni. Przeszło dwa wieki, od F r o b i s h e r a (1576) do C o o k a (1778), przedzierali się oni tam od wschodniej strony morzem i od południowej strony lądem do otwartego oceanu arktycznego, który jak mniemano miał oblewać północne wybrzeża Ameryki. Najpierwsi swojego czasu marynarze i podróżnicy angielscy, którzy nadali swoje nazwiska nowo odkrytym morzom, lądom, przylądkom i rzekom, jak D a v i s (1585), H u d s o n (1611), B y l o t i B a f f i n (1615), J a m e s i F o x (1631), M i d d l e t o n (1742) M a c k e n z i e (1772) i C o o k narażali życie dla dopięcia wielkiego celu, który miał przynieść nieobliczone korzyści handlowi Anglji i okryć ją wieczną sławą w historji odkryć geograficznych.

Z Anglikami w zawody występowała w innej stronie Rossja. Już bowiem od czasów Piotra W. począł rząd rosyjski wysyłać ekspedycje w celu poznania wybrzeży arktycznych Azji i zbadania odległości jej północno wschodnich kończyn, od nieznanych jeszcze podówczas wcale północno zachodnich wybrzeży Ameryki. Chcąc oznaczyć dokładnie wschodnie granice swego państwa, wyprawił car Piotr B e r i n g a, Duńczyka w służbie rossyjskiej, polecając mu opłynąć wybrzeża północno wschodniej Azji, od Ochocka poczawszy. Bering wywiązał się z zadania i w r. 1728 przebył noszącą teraz jego nazwisko cieśninę pomiędzy Azją a Ameryką, którą już 81 lat przedtem odkrył był Kozak Desznew. W 14 lat potem wysłany został Bering z S t e l l e r e m, C z y r y k o w e m i D e l i s l e m powtórnie w tamte strony dla szukania wybrzeży amerykańskich, podczas gdy liczni inni podróżnicy rossyjscy, jak M u r a w i e w i P a w ł ó w, M a ł u j g i n i S k u r a t ó w, O w c z y n, P r o n c z y s z c z e w i C z e l i u s k i n przedzierali się do północnych wybrzeży Azji, albo od zachodu, z Archangielu przez morze Karyjskie, albo od południa, rzekami z Syberji.

Podróże te wzbogaciły wprawdzie geografię całym szeregiem odkryć, sprostowały fałszywe wyobrażenia dawniejsze o układzie i rozległości arktycznych wybrzeży Azji i Ameryki, oddzieliły pierwszą od drugiej drogą Beringa, a Grenlandję od Ameryki zalewem Dawisa i Baffina, ale cały obszar wód i lądów, rozpościerający się na północy obu tych kontynentów, pozostał prawie zupełnie jeszcze nieznanym, a temsamem i cel główny, dla którego wszystkie angielskie wyprawy szczególnie były podejmowane, był nieosiągnięty. Owszem, im bardziej rozszerzał się widnokrąg w tej stronie, im dokładniej poznawano przyrodę strefy arktycznej, tem bardziej nikła nadzieja osiągnięcia go kiedykolwiek. Aż wreszcie Cook, gdy się przekonał, sprawdziwszy ostatecznie i uzupełniwszy odkrycia Beringa i Stellera, że kontynent północnej Ameryki rozpościera się 70° dalej na zachód niż zatoka Hudsona, zawyrokował, że „szukanie przeprawy północno zachodniej jest szaleństwem“, a towarzysz jego podróży, Jerzy Forster, pierwsza po nim w tego rodzaju kwestjach powaga, oświadczył, że droga morska naokoło północnych wybrzeży Ameryki mogłaby być chyba wtedy odkrytą, „gdyby jakaś nowa katastrofa wytknęła inne granice lądom i morzom.“ Nie większą nadzieję wzbudzały rezultaty podróży przedsiębranych od strony europejskiej. Małujgin i Skuratów przebili się wprawdzie z Archangielu przez morze Karyjskie do ujścia rzeki Ob (1738), ale na przebycie tej drogi dwoma małemi czółnami tam i napowrót potrzebowali 4 lata czasu, co przekonywało aż nadto dostatecznie, że żegluga wzdłuż arktycznych wybrzeży Azji jest niepodobną.

Tak skończył się pierwszy okres historji podróży i odkryć w świecie arktycznym.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. Karola Libelta.

(*Dokończenie.*)

(*Panteon wiedzy ludzkiej, Bronisława Trentowskiego. Tom I. Nakład Żupańskiego, Poznań, r. 1874.*)

Pomijamy dwa wielkie działy nauk lekarskich i prawniczych, któremi kończy się empirja, aby dać choć w krótkości obraz „spekulacji,“ to jest nauk i umiejętności, uprawiających treść tego świata idealną. Autor poczyna tu sobie, jak w teologji, i z pełną ducha swobodą posługuje się „Heglem,“ jako ostatnim spekulacji niemieckiej mistrzem.

Z wybornej pod względem języka i treści „Fenomenologji ducha“ Józefa Kremera, znanem jest mniej więcej to badań filozoficznych pole. Możemy je więc tylko ogólnie nakreślić. — Spekulacja tak jest dawna jak empirja. Obok szkoły Jońskiej, sadowiła się szkoła Eleatów, obok Sokratesa, Platon, obok Bakona, Kartezjusz. Co w Niemczech nazywa się „spekulacją,“ zowie się we Francji „spiritualizmem“. Ani wiara, ani doświadczenie nie może być umiejętności podwalą. Pierwsza daje silne przekonanie, ale nie jest ani wiedzą, ani rozumowem swobodnem badaniem. Drugie tyka się tylko tej lub owej rzeczy, ale nigdy ogółu istnienia. Nie ma w niem umiejętnej konieczności. Góruje nie rozum, ale fantaja, lub poezja. Nie materja ale duch sporządza rdzeń świata. Myślenie samo uścieła drogę do prawdy.

Ono ogarnia wszystek świat naukowy i zamienia go w świat wiedzy. Ono tworzy swój świat, który jest umiejętnym powszechnego świata wyrazem. Duch bezwzględny „myśli,“ tworząc świat, a myśli jego przeobrażają się w rzeczy. „Ztąd myśli w rzeczach i myśli ludzkie są zarówno myślami jego“ (st. 400).

Otóż całej spekulacji zakres i przedmiot. Jest ona w całem znaczeniu „metafizyką“. Badania jej są myśleniem, sięgają „po za fizykę“ świata. „Ontologia“ jest tej metafizyki część pierwsza. Wychodzi ona od ogólnego pojęcia „bytu,“ dobiera się „jawu,“ aż następnie wylania się jako „prawda,“ jako „idea“. Drugą część metafizyki stanowi „kosmologja,“ okazująca, że świat pojawny, tak powszechny, jak nieorganiczny i organiczny, jest tej samej ontologicznej myśli zewnętrznym wyjawem. Stosunek jestestw żywotnych do ogólnego świata złożony naprzód w nerwach, czujących wrażenie, następnie w muskułach, które są czynną drażliwością, nareszcie w gruczołowym zapłodzie, który odradza ustawicznie ciało. Drugim stosunkiem jest „zmysłowość,“ jaka się już przy roślinach w czasie zapłodnienia dość jawnie pokazuje. „Umysłowość“ jest trzecim stosunkiem organizmów do świata, właściwa tylko rodzajowi ludzkiemu. Dochodzimy tu do świadomego, czystego myślenia. Idea bezwzględna pozyskuje tą drogą swoją świadomość.

Otóż jesteśmy w powiatach pneumatologji, jako trzeciej części metafizyki. Ontologiczny duch, który siebie wypowiedzieć nie umiał, a w naturze, jako w swoim innobycie okazał się koniecznością i bezwładzą, zmartwychpowstaje do wiedzy i umiejętności na piersiach człowieczeństwa.

„Jak człowiek sam, tak dusza ludzka tkwi w przyrodzeniu i uwalnia się zeń zwolna i stopniowo“ (st. 488). Na tym stopniu jest „duszą przyrodzoną“. Bo i każda rzecz udzielna ma duszę. Wyższą jest „dusza zmysłowa“ lub czująca, obdarzona już wyobraźnią i pamięcią, oraz tą zmyślnością, która się zowie instynktem. „Dusza myśląca“ jest dopiero rzeczywiście duszą ludzką, która rozumem i mową wyrabia sobie świat własny, ludzki. Na tem stanowisku staje się „duchem“ obierającym już teoretyczny, już praktyczny, już obywatelski, czyli wolny, zawód. Na połączeniu teorji z praktyką stoi duchowa wolność i obywatelska cnota.

Świat społeczeński zbudowan na wolności. Rozbudza go duch teoretyczny, jak Prudon i socjaliści, i duch praktyczny będący sobkowstwem. Wyrodziło się więc koniecznie „prawodawstwo“ ku ubezpieczeniu prawa „własności,“ prawa „ugody“ i uchronienia ludzi od „bezprawia.“

Atoli *sumum jus* bywa i *summa injuria*. Prawo, to tylko zewnętrzne ubezpieczenie. Wewnętrzną obronę daje „moralność“. „Sumienie,“ to wiedza przyrodzona, „to świadomość siebie ducha bezwzględnego w nas“ (str. 505). Co prawne nie zawsze jest prawe. Ale kto działa moralnie, działa wciąż prawie. Moralność jest kolebką wolności istnej. Wolność w złem to już „swywola“. Aby dzieło ludzkie było dobre, potrzeba aby i cel i środki były takie (zamiar i uczynki).

Z moralności i prawa wyradza się „obyczaj“. Jest to wolność przedmiotowa i ogólna, i dla tego nad swywolą panująca. „Rodzina, naród i państwo“ są trzy główne obyczaju powiaty. Cel ich: utwierdzenie panowania światłości i cnoty.

Duch ludzki sięga do wyższych stanowisk, bo do samego ducha bezwzględnego, rozwijając „sztukę, religję i umiejętność“ — „Świat zwyczajny to ziemia, a świat sztuki niebo na ziemi“ (str. 513). Błędnem jest orzeczenie, że sztuka jest naśladowaniem natury. Z tej zasady wypłynęły niemoralne i nieświęte dzisiejsze romanse i dzieła teatralne. Artysta „tworzy“ nie „kopjuje“. On nadaje dziełu swemu, owo duchowe, boskie tchnienie, któregobyś na próżno szukał w rzeczywistości.

Autor dołącza do sztuk pięknych jeszcze sztukę „pańską“ i sztukę „bohaterską“. Tam król, minister, pan, ma na żywej ludzkości budować swe architektoniczne dzieło; tu wojak w służbie ducha bezwzględnego; umie wciąż ofiarować samego siebie. — Ma to coś za sobą, wszakże te dwa działy sztuk, należałyby raczej do sztuk pięknych społecznych, które autor pominął.

Prawo i moralność nie dopinają celu uszczęśliwienia rodzaju ludzkiego. Doń sam duch bezwzględny przemówić musi, i dać objawienie nadziemskie. Tak powstały „religje“. Ludy uwierzyły w wysłańców niebieskich i wiarą przyjęły ich naukę. Mnogość wiar rozchodzi się na „jedynobóstwo, wielobóstwo i bożo-człowieczeństwo“. „W chrześcijaństwie ma się objawienie jedynie prawdziwe“ (str. 521).

„Spekulacja“ czyli umiejętność filozoficzna, jest najwyższem upostaciowaniem się człowieczeńskiego ducha. Gdy wiary się nienawidzą i prześladują, niepodległa umiejętność osądza ich znaczenie. Gdy duch wiary martwieje, umiejętność jedna ujmuje się za wolnością ducha. Gdy powstają ateusze i szydercy religji, ona znowu przyprowadza pochodnią rozumu bezbożników do Boga. Kto nie wierzy, powinien przekonać się sam. Spekulacja rozpada się na „metafizykę,“ której treścią duch bezwzględny we wszechświecie, na „psychologję,“ czyniącą o duchu bezwzględnym w pojedynczym człowieku, i na „antropologję,“ szlakującą ducha bezwzględnego na łonie człowieczeństwa.

Te dwie ostatnie części nader krótko i dla tego niedostatecznie i niestosunkowo rozebrane, zakończają wsze nauki spekulacyjne, i kończą tom pierwszy Panteonu. Acz treść teologji, empirji i spekulacji trudna, obszerna, a wielekroć drażliwa, rozwiązał ją przecież autor do zadowolenia i z pożytkiem czytelnika. Krom ogromu nauki, podziwiać w nim trzeba i łatwość przenikania w głąb' rzeczy, i uroczą swobodę przedstawienia do zrozumienia najzawilszych kwestji. Pełno świetnych pomysłów, a wszystko wiąże się w piękną systematyczną całość.

Dr. Libelt.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Die erste Theilung Polens von H. v. Sybel, Deutsche Rundschau, Heft I. Berlin, 1874.*)

(Ciąg dalszy.)

Zupełnie inaczej zachował się w tej sprawie Fryderyk II. Po bardzo uciążliwej dla Prus wojnie siedmioletniej, uważał król pruski za jedyny ratunek dla swego kraju, długoletni pokój powszechny, a w tym celu potrzebował przymierza. Austrja go nienawidziła, we Francji przyjmowano jego projekta bardzo zimno, z Anglją zerwał stanowczo. Pozostawała tylko Rossja, chwycił więc podaną sobie dłoń bez namysłu. W sierpniu 1763 zaproponował Rossji przymierze odpornei przyrzekł przyjąć w ten akt także artykuł dotyczący Polski. W Petersburgu wygotowano sześć artykułów i dodano do nich kilka tajemnych postanowień, mocą których zobowiązały się sprzymierzone mocarstwa względem Polski do popierania krajowca na tron, utrzymania *liberum veto*, a więc anarchji szlacheckiej, wspierania dyssydentów, a zarazem do przeszkodzenia Szwecji w reformie państwowej. Traktat ten podpisał Fryderyk II d. 11. kwietnia 1764. Wiadomość o tem porozumieniu się dwóch północnych mocarstw, wywarła w Wiedniu wielkie wrażenie, sądzono bowiem, że Prusy i Rossja dążą do natychmiastowego zaboru prowincyj polskich. Książe Kaunitz uważał podział Polski jako rzecz dla Austrji wcale niekorzystną; wrazie jednak gdyby to nastąpić miało, Austrja powinnaby także jakąś część kraju otrzymać, a oprócz tego Szląsk i sukcessję Bawarską. Troski te jednak były przedwczesne. W Petersburgu nie myślano o podziele, tylko o zwiększeniu wpływu na Polskę. Fryderyk II. nie miał zamiaru rozszerzenia państwa; wydał on Polskę na pastwę Rossji, ażeby przez przymierze rossyjskie zapewnić stały pokój swemu krajowi. Dozwolił Katarzynie grasować po Polsce, nie chciał wysyłać do nieszczęśliwego kraju swoich wojsk i od czasu do czasu robił carowej przedstawienia, aby nadużyciami nie doprowadzała Polaków do ostateczności. Jeszcze będąc następcą tronu wyjawił Fryderyk życzenie przyłączenia do Prus — Prus zachodnich, ale w r. 1764 nie myślał wcale o zrealizowaniu swego planu. Gdy hr. Panin zaproponował pruskiemu ambasadorowi wynagrodzenie Prus za przymierze z Rossją krajem polskim, Fryderyk miał tę propozycję stanowczo odtrącić.

Tymczasem w Polsce działo się wszystko po woli Katarzyny, a do dokonania ostatecznego celu dopomogli jej najwięcej sami Polacy. Czartoryscy, jedyni mężowie stanu u nas w owym czasie, postanowili skorzystać ze stanowiska, jakie jako stryjowie króla zajmowali i przeprowadzić niektóre reformy, któreby ład w nieszczęśliwym kraju umożliwiły. Wystąpili więc z kilkoma wnioskami mającemi na celu wzmocnienie władzy królewskiej i te dzięki niedołężności i nieznajomości języka polskiego, starego Kajserlingka, ówczesnego ambasadora moskiewskiego w Warszawie, zdołali przeprowadzić. Wkrótce jednak Kajserlingk umarł, a jego miejsce zajął zdolny polityk, a zarazem brutalny cynik — Repnin. Przez datki pieniężne i schlebianie próżności szlacheckiej, zdołał on natychmiast wywołać reakcję przeciw reformom Czartoryskich: zawiązały się konfederacja dysydencka i smutnej pamięci konfederacja Radomska pod przewodem Branickiego i Radziwiłła, do której i król przystąpił. Reformy Czartoryskich uchwalone przez Sejm uznane zostały za nieważne, a dawna anarchja przy pomocy Moskali odniosła tryumf nad rozumem stanu. Jak długo chodziło o pupilę wolności szlacheckiej, konfederacja Radomska była powolną ambasadorowi rossyjskiemu, skoro zaś przyszła na stół kwestja równouprawnienia dysydentów, zmieniła się postać rzeczy. Najznakomitsi naczelnicy konfederacji wystąpili gwałtownie przeciw ambasadorowi rossyjskiemu, który nienamyślając się długo postanowił przeciw krnąbrnym użyć przemocy, jakkolwiek Fryderyk II, gwałtownych środków odradzał. Trzech najznakomitszych przewódzców opozycji, dwóch Rzewuskich i biskupa Sołtyka porwano w nocy z Warszawy i wywieziono w głąb' Rossji do Kaługi. Przez to opozycję złamano: konfederacja uchwaliła równouprawnienie dysydentów, zawarła przymierze między Rossją i Polską i uznała gwarancję imperatorowej, sankcjonując przez to niejako wszystkie gwałty moskiewskie. Następnie konfederacja się rozwiązała, a Repnin wydał rozkaz ewakuacji wojsk moskiewskich z polskiego terytorjum.

Okrucieństwa Repnina wywołały konfederację Barską, którą p. Sybel osądza z fałszywego stanowiska, jako czystą walkę religijną przeciw dysydentom. Konfederacja Barska, jakkolwiek nosi na sobie cechy walki religijnej, była czystym wyrazem polskiego patrjotyzmu. „Rycerzom Marji“ chodziło tylko o Polskę, którą oni tylko jako katolicką w przeciwstawieństwie do schyzmatyckiej Moskwy pojmowali. Konfederaci usiłowali oprzeć się na Austrji i Francji i cieszyli się wielkiemi sympatjami tak w Wiedniu, jak i Paryżu. Walka partyzancka trwała przez lat kilka, a najraźniejszym bezpośrednim jej wynikiem była wojna między Turcją a Rossją. W Październiku 1768 wypowiedział sułtan Moskwie wojnę, z powodu, jak się wyraża w manifeście, że nie może

*

dłużej cierpieć rossyjskiego gospodarstwa w Polsce. „W ten sposób“ pisze pan Sybel, „sprawa polska stała się pierwszorzędną kwestją europejską, a nikt przez to nie czuł się w przykrzejszem położeniu, od króla Fryderyka. Znał on dostatecznie Katarzynę i wiedział że rozpoczętej wojny z Turcją nie zakończy bez pewnych dla siebie korzyści. Również było mu wiadomem, że Austrja nie zniesie choćby najmniejszych zdobyczy Rossji w Turcji. Gdyby zaś przyszło do wybuchu między temi dwiema potęgami, natenczas w skutek przymierza swego z Rossją, musiałby się zawikłać w wojnę i nie zdołałby utrzymać pokoju, którego tak pragnął. Ambitny minister francuski Choiseul, był w wielkiem naprężeniu z Anglją, a ponieważ Anglja zaczęła kokietować z Rossją, oświadczył się więc przeciw Rossji i wspierał konfederację Barską, pieniędzmi i zdolnymi oficerami, następnie zrobił propozycję Fryderykowi, aby zerwał przymierze z Rossją, a za to pozwalał na zabranie polskich prowincyj Warmji i Kurlandji. W Petersburgu przeciwnie noszono się z myślą utworzenia północnego związku z Rossji, Anglji, Prus, Szwecji i Danji, przeciw Polsce, Turcji, Austrji i domowi Burbońskiemu. Wśród takich okoliczności najmniejszy impuls mógł rozdwoić Europę na dwa nawzajem się wojujące obozy. Fryderyk II był tem bardzo zafrasowany; dzień i noc rozmyślał, jakby niedopuścić do wybuchu powszechnej europejskiej wojny. Najważniejszem pytaniem dla niego było, jakby przeszkodzić zatargom między Austrją i Rossją. Katarzyna chciała powiększenia terytorjum; Austrja nie mogła na żadne zdobycze w Turcji dozwolić. Fryderyk wpadł na myśl, czyby nie zgodziła się Austrja, aby Katarzyna zamiast tureckiej, jaką polską prowincję zabrała i dozwoliła Austrji ze swojej strony tak samo na zabór jakiej polskiej prowincji. W takim razie „leżałoby w interesie równowagi, ażeby także Prusy skroiły dla siebie kawał Polski“ (!) Projekt ten sformułowany w ten sposób, że Austrja ma zabrać Spiską ziemię wraz z Lwowem, Fryderyk Prusy Zachodnie, a Rossja którąkolwiek z prowincyj poskich, posłał do Petersburga. Ale Panin, ówczesny minister i zausznik Carowej, oświadczył się stanowczo przeciw niemu i zaproponował Fryderykowi nawzajem następującą wręcz przeciwną jego zamiarom kombinację: Rossja z Austrją dzielą się Turcją, a w takim razie pozwalają Fryderykowi na zabór Prus Zachodnich. Odrzucenie propozycji tak rozgniewało króla pruskiego, że natychmiast projekt swój w piec wrzucił i już o nim nie wspominał. (D. n.)

Kronika Londyńska.

Londyn, 15. Października 1874.

Od czego zacząć, gdy tyle myśli plącze się po głowie, gdy tyle obrazów snuje się przed oczami? Od czego zacząć w Londynie?

Hałas i gwar, — ludzie ludzi rozpychają, — omnibusy, keby i karety zdobywają sobie zręcznością miejsca do przejazdu — muzykę zagłuszają przekupnie — przekupniów świst lokomotywy. Chłopcy na rogach sprzedają rozum angielski, pena za wielki arkusz — piękne miss uśmiechają się, a patrzą tak swobodnie i jasno, tak spokojne i pewne siebie, jak ambasador państwa, po przeczytaniu depeszy od swego monarchy: idź naprzód, za twemi plecami stoi miljon karabinów, w rękach najzdrowszych ludzi, oderwanych od pracy produkcyjnej na swojej ziemi! Miss nie mają armji za sobą, lecz coś więcej do obrony: mają prawo, przez prawo wyrobione stanowisko w społeczeństwie, stanowisko to oparte na szacunku, szacunek przeszedł w obyczaje całego narodu — i dla tego nasze miss patrzą prosto w oczy tak poważnie, jak królowe, a dumnie jak kobiety czujące swoją godność i miejsce uprawnione w narodzie. Mgła — miss utonęły w mgle, jak marzenia w dymie kominka; — ciżba przechodniów potrąca mnie obcego, nie związanego z niemi łańcuchem interesów, rasy i jednego celu, — wszyscy zajęci sobą, zamyśleni, z oczu ich wygląda chciwość, usta poruszają się rachunkiem, na twarzach zwątpienie, radość lub nadzieja... Walka o byt w całej sile podbija, panuje. Cztery miljony ludzi, a wszyscy pragną żyć i wszyscy mają prawo do życia, — wszyscy mają jeden cel — zaspokojenie, i jeden środek — pieniądz. A więc naprzód wśród tłumów, każdy do swojego celu, aby zdobyć możność życia, za niem upojenie użycia, a chociażby tysiące stało na drodze, zepchnąć ich w przepaść... Na ulicy stoi starzec już u celu, bo u życia kresu: rozdaje drukowane karty przechodniom, na jednej stronie wielkiemi literami odbite: „Bóg wam przebaczy, bo on jest miłością i dobrocią!“ Anglicy odbierają karty z grzeczności i z grzeczności chowają do kieszeni surdutów.

Wieczorem obok rachunków z zysku i zdzierstwa, — obok pozwów i wyroków, — zabłąkana karta wśród papierów, a na niej: — Bóg wam przebaczy!...

Słońce zaszło, wielką kotlinę miasta odznacza łuna odpoczywającego obozu, — walka ustała, — głodni kładą się spać, jeżeli mają gdzie, — idą do workhauzów (domów roboczych) na zupę i nocleg, jeżeli wstyd stracili, — lub nad brzeg Tamizy, aby tam ukryć swoją nędzę i łzy, a przechować wstyd i godność, chociażby przyszło zmarznąć od zimna, lub na dnie rzeki szukać posłania wiecznego... Bóg wam przebaczy!

Lecz są i zwycięzcy; dla nich to czterdzieści teatrów, cyrki, czarni minstrele i halle.

Covent Garden, ogród klasztorny, dziwna nazwa największego i najwspanialszego teatru w Londynie.

Scena i przedscenie zmienione na jedną wielką salę wysłaną dywanem. U góry wiązanie z różowej materji i białej gazy, zasłania labirynt dekoracji, tworząc w gotyckim stylu sklepienie. W środku estrada na sto miejsc dla orkiestry i chóru, w rogach groty oświetlone bengalskim ogniem, a w nich fontanny i pluszczące się w wodzie nimfy. Dyjana odpoczywa w lesie przy świetle księżyca — towarzyszki stoją na czatach, amorki ostrzą strzały. Zielony kolor, zielony ton i światło zielone... Flora pod promieniami złotego światła rozrzuca kwiaty, obok niej młode greckie dziewice tańczą wesoło. Między Dyjaną a Florą wspaniały bufet, a za nim miss, którym zazdroszczą Dyjana i Flora, leją ambrozję tego świata.

Noc to poświęcona Rossji, rossyjskiej pieśni, rossyjskim kompozytorom. Uderza dziewiąta godzina, pan Hervé, dyrektor koncertów, daje znak pałeczką, — cisza, patrzę w program: *Ouverture — La vie pour le Czar — Glinki.*

Nieszczęśliwy naród, pierwszy dramat muzyczny, który wysnuł z myśli swego mistrza, nosi nazwę: „Życie za cara“. Czyż śmierć niewolnika za swego tyrana, stała się szczytem poświęcenia? Biedny narodzie, przyjdzie czas, kiedy i ty będziesz oddawał życie tylko za swoją wolność, a tymczasem słuchajmy muzyki Glinki.

Instrumentacja niemiecka, motywa słowiańskie, nasze, z nad Dniepru, zaniesione wiatrem na pustynie moskiewskiej ziemi. Obrońcy wolności i praw swych, pędzeni na Sybir, spiewali piosnki rodzinne, — lud podsłuchiwał, uczył się, nucił, przedłużając takt zmieniał je na długą nutę boleści, jak długa i beznadziejna niewola jego. Więźnie rozsiewali pieśń, a z nią i ziarna wolności.

Takie wrażenia wywołała w mych myślach muzyka rossyjskiego maestro, budząc silne przypomnienia kraju rodzinnego.

Cała orkiestra powiększona wojskową muzyką na dętych instrumentach — z akompaniamentem chóru, zagrzmiała polonezem! Serce mocniej mi uderzyło, tak wykonanego poloneza jeszcze nigdy nie słyszałem. Ogiński w całym blasku talentu swego stanął mi w myśli. Splątane uczucia nie pozwoliły się zorjentować gdzie jestem — w stolicy świata handlu, czy na zamku wojewody polskiego. Oglądam się, wszystkie twarze rozpromienione, długie i ponure rysy angielskie okraszone uśmiechem zadowolenia, moje piersi rozsadza radość, żal i tęsknota. Skrzypce nucą pieśń, chór ją porywa i w tonach głośniej rozbrzmiewa, flety i puzony zdają się jej echem, a trąby chwałą i tryumfem!

— Cześć ci Ogiński! — zawołałem.

— *Nau ser* (nie panie) to Glinka — odpowiada mi poważny Anglik, pokazując na program.

Glinka?... zabraliście ziemię, odebrali wolność, obdarliście nas z bibljotek, chcecie wydrzeć język — wypalić myśl — z nią twórczość... a w ukradzione szaty stroicie się przed Europą?...

Zapóźno! twórczości ducha nie odbierzecie, ona zawsze stać będzie na przodzie cywilizacji słowiańskiej, chyba że my sami — zmęczeni lub zdemoralizowani, złożymy berła, które od tysiąca lat trzymamy w naszych rękach... Zapóźno Glinko! — Ogiński, Kurpiński, Elsner, Szopen, Komorowski, Moniuszko, Dobrzyński i inni i inni, — zebrali z rozrzuconej pieśni polskiej wszystko, co było najpiękniejszego. Trzeba drugiego Szopena, któryby wobec tych nagromadzonych skarbów był równie bogatym, równie oryginalnym i samoistnym. Zapóźno Glinko! — jesteś niewolnikiem genjuszu polskiego, tak jak Rossja jest niewolnicą cywilizacji polskiej.

Rzym zawojował Grecję, — a Grecja ucywilizowała Rzym. Bierz więc Rossjo wszystko od Polski, albowiem cywilizacja dziewiętnastego wieku jest wolnością, — czerp z genjuszu ducha polskiego materjał do ukucia dla siebie młota, którymbyś mogła rozbić swoje kajdany.

Słuchajmy; na środek estrady występuje pan Lévy z trąbką naszego Rajczaka w ręku. Spoglądam w program: „*Solo Concert à Piston*“ — „*Airs Russes*“, — „*Variations*“, „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej, do ciebie Panie bije ten głos!“ odbija się o sklepienie teatru wdzięcznie, metalicznie, jak tylko Lévy dziś w Europie na trąbce grać umie. Za trąbką spieszy orkiestra, trąby, a modlitwę Kornela Ujejskiego śpiewa chór dobrany. Łzy stanęły mi w oczach. Jakaż okropna ironja! Moskale na Sybir wywożą za tę pieśń w własnem państwie, — a na obcej ziemi, usiłują się nią chwalić, jak własną. Pieśń się skończyła odegrana tak mistrzowsko, jakbyśmy ją tylko mogli usłyszeć w oswobodzonej Warszawie. Lévy czarodziej dalej wygrywa: „O Gwiazdeczko coś błyszczała“ — „Kalinę“ — „Ukrainkę“ — „Ach! oczy oczy niebios błękicie“ i „Sarafan“. Trzebaż było aż Londynu, aby pieśni ducha dwóch narodów połączyć i zbratać w jednej trąbce grajka? Tak, trzeba było wolności Anglji, bo wolność tylko jest spójnią i harmonją w narodach.

Rossjo! bierz nawet naszą pieśń, jeżeli ona zdolna pomódz ci do uzyskania swobody.

Pierwsza część skończona, tłum zalegający salę poruszył się i popłynął falą. Wszystkie miejsca otwarte i wszystkie, oprócz lóż pierwszego piętra, kosztują tylko jednego szylinga.

Bufet na dole otaczają młodzi mężczyzni i wesołe kobiety, przeważnie narodowości francuskiej. W lożach bogate rodziny, a galerje zajęte przez średnią, a tak pełną godności i prostoty klasę społeczeństwa angielskiego.

Program części drugiej — więcej już rozmaity, swobodny, dla szerokiej publiczności szukającej w muzyce rozrywki i wesołości. *Le petit Faust* połączony z chórem i całą orkiestrą, — Serenady, utwory wielkich mistrzów włoskich i niemieckich, potem piosenki, nareszcie walce, kadryle i marsz.

Podczas tak wielkiej uroczystości, obejmuje główną dyrekcję znakomity Julius Benedict.

Prowadząc orkiestrę uśmiecha się, daje takt nogą, głowę lekko na lewo i prawo przechyla. Benedict rozkoszuje się arcydziełami mistrza, wykonywając każde z nieporównanym talentem. Krytycy londyńscy utrzymują, że gdyby wielcy mistrze mogli odżyć choć na jedną noc, na parę godzin, aby usłyszeć swoje utwory, zdziwiliby się ścisłością w odtworzeniu i jasnością zrozumienia tajemnic ich genjuszu i myśli twórczych.

Dla czego u nas w kraju nie pomyślą o podobnego rodzaju koncertach, nazwanych promenadą? Wszystko co ludzi zbliża do siebie, gromadzi ich w jedno koło, pozwala zobaczyć się i swobodnie porozmawiać — jest już pewnym rodzajem drogi dla cywilizacji i postępu. Jeżeli zamiany produktów uważamy za dźwignię cywilizacji i stosunków międzynarodowych, to cóż powiemy o swobodzie zamiany myśli w narodzie? Miejmy odwagę powiedzieć sobie prawdę, u nas o bardzo wielu rzeczach nie myślą... Za dużo dbałości o osobistą wygodę i za dużo apatji. Gdzież się zapodziała dawna nasza energja i żywość? Zatraciliśmy ją może w walce, w której zwycięstwo zdaje się od nas uciekać, a może w zobojetnieniu i kontemplacji nad własną niemocą...

Zaledwie przycichł ostatni dźwięk, od pociągnięcia smyczka, zaledwie odgłos bębna i trąb skonał pod sklepieniami sali, gdy innego rodzaju niespodzianka, innego rodzaju huk straszliwy, od którego

domy waliły się w gruzy, obudził zdumionych mieszkańców Londynu.

Maleńki parowiec na miejskim kanale ciągnął trzy holownicze statki. Szczęściem minęli podziemne tunele i szczęściem, że już płynęli przez Rigiens-parck—gdy w tem na pierwszym statku buchnął ogień, a po nim w kilka sekund straszliwy nastąpił łoskot. Cztery tysiące funtów prochu złożonych na statku, wypadkiem zapalone, spłonęły jak fajerwek na dzień dobry londyńczykom. Potem buchnęła fontanna ognia z przerwanej rury gazowej, objętości trzech łokci, wysokością przewyższając drzewa parku.

Postraszone miss w białych kostjumach wybiegają na ulicę sądząc, że to trzęsienie ziemi — dżentelmeni porywają fuzje i karabiny pewni, że Fenjanie bombardują Londyn... Popłoch, zamięszanie, ucieczka z panicznego strachu, bez wiedzy i celu, — a jednak oprócz trzech ludzi na statku, nikt nie zginął od tej katastrofy, nawet domek karmiciela zwierząt w przyległej menażerji, chociaż zupełnie zwalił się, nie zgruchotał właściciela.

Przypuśćmy na chwilę inny rezultat spalonego fajerwerku. Oto klatki najbogatszej na świecie menażerji pękają, rozsuwają się i mieszkańcy puszcz afrykańskich i lasów Ameryki dostają się na zielone gazony parku, — z parku na ulice, tam postrzegają przestraszone miss w bieli, jak ich przodkowie w Koliseum rzymskiem białe męczennice chrześcijanizmu. Wtedy jeżeliby w szanownym gronie nie przyszło do drażliwej dyskusji, a potem do żwawej rozprawy czynnej, pogoń byłaby straszna, rezultaty okropne... Rzućmy zasłonę na te straszliwe przypuszczenia — już i tak tysiąc domów uszkodzonych — trzy statki zatopione i szkoda na pół miljona funtów, chociaż *Telegraph* wyliczając wszystkie znane eksplozje zapewnia, że ostatnia jest najsilniejsza, a jednak ze wszystkich najmniej szkodliwa.

* * *

Szczęśliwy Londyn! Offenbach komponuje wyłącznie dla niego nową operę, osnutą na tle życia angielskiego. W teatrze „Alhambra" próby już rozpoczęte, a na pierwszem przedstawieniu sam maestro ma prowadzić orkiestrę. Zdziwi się on nie pomału jeżeli poprzednio nie będzie na próbie. Teatr Alhambra, to parodja parodji w najgorszym smaku. Francuska „blaga", nie da się porównać z angielskim „punszem". Anglja wydała klownów, prezentujących się u nas w cyrkach. Jeżeli kankan przeszedł w ruchy Francuza, to klownizm zapanował w ruchach angielskich. Teatr bez klownów lub klownizmu wszelkiego rodzaju i stylu, prawie nie istnieje w Anglji. Klownizm przedewszystkiem rozgościł się w komedji i komicznej operze. Jest to parodja komizmu pomnożona przez brutalność, a to wszystko razem podniesione do potęgi przesady.

Karykaturować karykatury, to znaczy tyle co je oszpecać. Karykaturować operetki Offenbacha jest to samo, co je zabijać, robiąc przedstawienia ich niemożliwemi; a jednak teatr Alhambra posiada tę zdolność. Proszę sobie wyobrazić skarykaturowaną, „Piękną Helenę!" Menelaus występuje w ubraniu szkockiem; przewracają go, aby okazać całą niewygodną stronę szkockiego ubrania. Kobiety się odwracają, mężczyzni śmieją się przeraźliwie, a ludzie z pewnem poczuciem estetycznem wychodzą. Bić się i boksować, na scenie rzucać na siebie poduszkami (Cromvellowska zabawa) należy do niezbędnych warunków powodzenia.

Blaga francuska może być cyniczną lecz mimo to jest ona zawsze przyjemną, żywą, pociągającą — a często nawet estetyczną. Klownizm natomiast jest płaski, trywialny i odstręczający. Dla tego tylko Francuzi farsy dobrze przedstawiają — przystrojone w powiewną muzyczkę Offenbacha; Niemcy je parodjują, a Anglicy klownizmem zabijają.

* * *

— Napisz mi ser, jeśli łaska, co do albumu, jedno wspomnienie z walk twego narodu, lub jedną poezję z waszej literatury — mówiła blada miss metalicznym głosem, patrząc niebieskiemi oczami, podczas gdy złote jej rozpuszczone włosy spływały na białą szyję.

— Pani — odpowiadam — żądanie twoje nad moje siły... nie posiadam tak dokładnie angielskiego języka.

— Napisz więc ser po francusku.

Nie było rady; kartka różowemi paluszkami wyjęta, jest pióro i atrament... ha! trzeba uledz kaprysom dziewczęcia, gdy prosząc rozkazuje i gładkie czoło marszczy.

Z pamięci mojej wydobywa się wierszyk Adama:

Gdy Cię nie widzę, nie tęsknię, nie płaczę,
Nie tracę zmysłów, kiedy cię zobaczę,
Lecz gdy cię długo — długo nie oglądam,
Coś wiedzieć pragnę, kogoś widzieć żądam.
I tęskniąc sobie zadaję pytanie,
Czy to jest przyjaźń, czyli też kochanie.

Lecz jakżeż przetłumaczyć takie cacko mistrza, pełne zalotności, uśmiechu, smutku i uczucia, jakże przetłumaczyć, gdy Francuzi nie mają nawet pojęcia a zatem i wyrazu na oznaczenie tęsknoty?... Dziecko grymasi i dąsa się, a mnie już na skroniach białe włosy, jak austryjaccy tyraljerzy z czarnego lasu wyglądają. Czyż można nie usłuchać?

Mes yeux ne pleurent pas, ni mon coeur ne soupire,
Quand je ne te vois pas,
Et jamais, non jamais je ne sens que j'expire,
Lorsque j'entens tes pas.
Mais quand pendant longtemps, bien longtemps ton
Disparait de mes yeux, (visage
Je desire et j'attends, il semble qu'un nuage
Vient obscurcir les cieux.
Il manque à mon bonheur quelq'un, ou quelque chose,
Je me dis tour à tour,
L'amitié peut être... ou bien alors.... je n'ose...
Serait-ce donc l'amour?

— Ach! jakie to prawdziwe, proste, a piękne — zawołała miss.

— Powiedz pani jak nienaturalne i niesmaczne w porównaniu z oryginałem.

— Nie znając oryginału wiedzieć tego nie mogę. Przyznam się panu, że Szekspir chociaż genjusz, nie skorzystał nigdy z podobnego stanu serca ludzkiego... Nie mówię już o Bajronie — bo ten takieby zaraz szerokie koła w marzeniach tęsknoty roztaczał, że nareszcie musiałby wpaść w zwątpienie, ładne wprawdzie jakim był nasz Lord, i od niego nazwane bajronizmem, ale które zawsze w ostateczności rodzi splin.

— Genjusze, pani, są sobie równi, ale nigdy podobni do siebie, i dla tego Mickiewicz jest odrębną wielkością tak w naszej literaturze, jak i w świecie całym.

— Prawda, — czy w pańskiej ojczyźnie zawsze tak ładnie piszą wasi poeci?

— Jedni wzięli uczucie i pieszcząc się z niem, rozkwilili je i rozsentymentalizowali, drudzy zaś naśladując formę i budowę architektoniczną, wyrzynają na sklepieniach koronki...

— Zapominają o treści, o ogniu natchnienia, o nowych ideach, które na formę czekają. Jakie to trudne po genjuszach dziedzictwo! Czy podzielasz moje zdanie ser, że lepiej gdy całe wieki dzielą nas od tych wielkości?

— Dla czego pani?

— Bo wtedy czegoś się spodziewamy, oczekujemy, odważniej możemy pracować, więcej wierzyć w siebie. Zresztą, trzeba czasu, aby wyczerpane przez genjuszów myśli, kształty i stosunki ludzkie, miały czas na nowo się nagromadzić.

— Nie przeczę, gdy obecnie, prace zbyt świeże zostawione po olbrzymach, chcąc łatwiej dźwignąć i nieść dalej, rozbieramy na części, obrabiamy w szczegółach, rozszerzamy w drobiazgach...

— Ztądto tworzy się maniera...

Bądźmy więc wyrozumiali dla naszych młodych poetów. *Sewer.*

Z ŻYCIA ZWIERZĄT.

Z ZAPISKÓW Dra. E. JANOTY.

Szympans w zoologicznym ogrodzie w Dreźnie.

W roku zeszłym, 1873, z końcem czerwca, przybył do ogrodu zoologicznego w Dreźnie szympans, pochodzący z dolnej Gwinei. Alwin Schöpff, dyrektor tegoż ogrodu, podaje w czasopismie: *Der Zoologische Garten, 1874*, nr. 86, zajmującą wiadomość o tej małpie.

Zaraz po jej nabyciu umieszczono ją wraz z inną małpą w części domku zimowego, $4\frac{3}{4}$ m. (15′) wysokiej, $3\frac{1}{2}$ m. (11) szerokiej i tyleż długiej. Odstęp między kratą a oknem czyni 1 m.; szklane drzwi odległe od drugiej kraty o metr, prowadzące do wnętrza domu, wstrzymują niemiłą woń pochodzącą od nosorożca i innych zwierząt, zarazem chronią zwierzęta od nieprzyzwoitego zachowania się publiczności. $\frac{1}{2}$ m. od kraty jest piec, od którego idą rury z ogrzaną parą wodną; stołek, stół, łóżko, drzewo do spinania się, chustawka linowa, trapezy i deski tworzą wewnętrzne urządzenie mieszkania szympansowego. Szympans (samica) nazywa się Mafoka. W nocy spi na łóżku na sienniku i poduszce; w dzień wynosi się siennik i poduszkę na słońce; ma także kołdrę, której doskonale umie używać. Większa część publiczności, przybywającej do ogrodu, odwiedza szympansa, zwłaszcza gdy śniada lub wieczerza. Śniadanie lub podwieczorek składa się na przemianę z kawy, herbaty, kakao, chleba domowego z masłem, bułki, niekiedy z ryżu ugotowanego na mleku, surowej lub gotowanej marchwi, fig, orzechów, daktylów, rodzynków, jabłek, gruszek i migdałów. Gotowane mleko i wodę cukrem słodzoną rzadko kiedy pije. Przy jedzeniu okazuje się Mafoka bardzo zazdrosną ku swojej małej towarzyszce, która dla niej jest w ogóle bardzo uprzejmą; tylko gdy gonienie i drażnienie przebierze miarę, wtedy gryzie ona Mafokę w uszy i ramiona. Lubi ona to, gdy szczególnie rano po wstaniu wspomniana towarzyszka wylizuje jej oczy lub ostrożnie rączętami powieki rozciąga. W nocy śpią obie razem, objąwszy się rękoma. Gdy im się przynosi jakiekolwiek jadło, zazdrosna Mafoka usiłuje odstraszyć towarzyszkę gwałtownem tupaniem nogami o stół, łóżko lub deskę służącą do biegania. Skutkowało to jednak tylko przez pewien czas. Poczem zaczyna się zacięta gonitwa przy pomocy liny, aż się nareszcie między niemi pokój i zgodę przywróci, lub małpeczka powyżej wymienionym sposobem sama sobie poradzi.

Przywiązanie okazywane pierwszemu swemu panu i jego otoczeniu, Mafoka już w pierwszym dniu swego pobytu w ogrodzie przeniosła na dyrektora ogrodu; obejmuje go rękoma, całuje i zastępuje mu drogę, gdy chce odejść. Już u dawnego jej pana uważano, z jaką układnością siedziała przy stole przy kawie; brała sobie najpiękniejszą filiżankę, sama sobie nalewała i zachowywała się zupełnie jak człowiek. W ogrodzie pije herbatę naprzód łyżką, potem z filiżanki, którą sama sobie nalewa, a często nie mogąc się jej doczekać, pije wprost z garnka blaszanego. Niejedną już łyżkę porwała, aby ją w dogodnej chwili szybko na kawałki połamać. Chleb z masłem jadłą z początku chętniej niż później, przyzwyczaiła się bowiem do sucharków. Jeżeli masło nie jest solone i dużo go na chlebie, chętnie je zjada; masło solone zeskrobuje pazurami i używa go jako pomady, smarując sobie niem głowę i ramiona. Naczynia do picia bierze często na linę lub drążek, na którym siaduje. Jeżeli się od niej żąda zwrotu podanych przedmiotów, czego nigdy natychmiast nie czyni, wystarczy zagrozić jej rzuceniem na nię marchwią. Wówczas natychmiast puszcza wszystko na ziemię lub oddaje do ręki, jak raz zegarek, na którego tarczownicy była mucha namalowana i który jej dyrektor często pokazywał przez kratę; usiłowała ona muchę z tarczownicy zeskrobać. Bardzo chętnie i uważnie przysłuchiwała się biciu zegarka, przykładając go do ucha, i pamiętała sobie dobrze kieszeń od kamizelki, do której wkładano zegarek. Gdy później wszedłem do klatki, są słowa dyrektora Schöpffa, nie pokazując łańcuszka od zegarka, wyspinała się Mafoka na mnie i pieszcząc mnie, w okamgnieniu wyciągnęła zegarek i jak strzała umknęła pod samę powałę klatki, przypatrując się tutaj muszce i przysłuchując się kołataniu zegarka; zwróciła atoli zegarek za gruszkę, którą sobie szybko kazałem podać. Szczęście, że go nie rzuciła. Gdy usiędę na jej stołku, przeszukuje wszystkie kieszenie; jeżeli nie znajdzie łakoci, zdarza się często, że wyrwawszy kieszeń, szybko z nią ucieka. Z surduta zrobiła mi Mafoka w krótkim czasie frak, oderwawszy z niego przodki. Gdy wyrządzi jakąpsotę pociągającą za sobą karę, wówczas udając zagniewanego, obracam się ku niej tyłem i głośno ją łaję. Przychodzi ona natychmiast i przymilaniem stara się wszystko znowu załagodzić. Atoli skoro tylko okażę się znowu dobrym, zaczyna ponownie swoje figle szalone; zeskakuje z góry na

plecy moje, wydaje radośne głosy, przełazi mi pomiędzy nogi, wywraca koziołki i t. p. stroi figle. Rano podczas czyszczenia klatki wyrywa mi czasem miotłę, zamiata sama dosyć zręcznie, lecz łamie ją natychmiast na kolanie, skoro tylko upatrzy dogodną ku temu porę. Pozwoliłem jej raz umyślnie wykraść mi z kieszeni klucz od klatki, udając, że nie uważam na to, co robi; otworzyła nim wcale zręcznie drzwi klatki. Trociny przyniesione do klatki pomaga rozsypać. Zobaczywszy, jak kobieta przed zamiataniem skrapiała palcami wodą ziemię przed klatką dla zapobieżenia wznoszeniu się pyłu, Mafoka naśladowała ją po mistrzowsku, używając do skrapiania wody słodzonej. Taż kobieta wyciera często kratę od zewnątrz; Mafoka schowała się niepostrzeżenie pod łóżko i upatrzywszy sposobną chwilę, wydarła kobiecie świeżo zamaczaną szmatę z niemałem tejże przestraszeniem, poczem wycierała i szorowała żwawo stół i ściany. Woda słodzona i mleko musiały zastąpić zwykłą wodę, a maczanie, wyciskanie szmaty i szorowanie szły na przemianę zupełnie tak, jakby to człowiek czynił. Gdy jej zabrakło mleka i wody słodzonej, poradziła sobie innym sposobem. Trybuszona, młotka i t. p. umie bardzo zręcznie użyć. Gdy wnijdę do niej w czapce lub kapeluszu, stara się wydrzeć mi je czemprędzej, aby sobie nakryć głowę. Wielką sprawia jej także przyjemność, gdy może zagasić palący się stoczek lub (szwedzką) zapałkę, układając do tej czynności wargi jakby w tulejek. Nie mało się zdziwiłem, gdy już drugiego dnia pobytu swego w ogrodzie ściągnęła mi z nogi but, ująwszy go za napiętek i przedni koniec, zupełnie tak, jakby to człowiek uczynił. Ściąganie buta nie szło tak łatwo, a gdym w końcu naumyślnie nogę szybko popuścił, upadła na wznak. Potarłszy przez chwilę miejsce, w które się uderzyła, powstała, uciekła z butem w kąt i sama go wdziała. Ta robota powtarza się codziennie. Były jej pan, od którego ją kupiono, wraz z nią przywiózł także chłopca murzyna, z którym Mafoka się bawiła. Gdy do jej klatki zbliżył się kominiarczyk, zdawało się jej, że to wspomniany czarny towarzysz podróży i wydała okrzyk radości; lecz rozpoznawszy przez kratę nogi jego i poczuwszy sadzę, rozgniewała się, ugryzła kominiarczyka tego w podany palec i chciała rozwalić kratę. O ludziach zatrudnionych w ogrodzie nic nie chce wiedzieć i lubi ich szarpać za włosy, a przedewszystkiem za brodę. Niejednego już uderzyła i ugryzła. Mnie nigdy nie chce puścić z klatki, trzyma mię mocno, wiesza się mi na szyi i okrywa całusami. Gdy mnie jeden tylko dzień nie widzi i gdy powrócę, choćby w nocy, wstaje z łóżka, aby mię przynajmniej przez kratę pocałować. Gdy we wrześniu (1873) powróciwszy z Antwerpji, wszedłem do niej, w żaden sposób nie chciała mnie wypuścić z klatki. Nie dowierzała mi, stanęła w środku klatki i za każdem poruszeniem nogi mojej skakała to na prawo, to na lewo. Gdy się wreszcie w takich wypadkach wymknę, siedzi smutna z spuszczonemi oczyma.

Dla małej jej towarzyszki urządziłem kryjówkę, do której może się schronić, gdy jej Mafoka zbyt dokucza. Jeżeli małpeczce włożę jadło do tej kryjówki, szympans usiłuje wydobyć je ztamtąd. Gdy mu ręce lub nogi nie wystarczą, bierze linę, mającą na końcu pętlicę, i wkłada ją do tej bocznej klatki, ale zawsze napróżno. Małpeczka ta jest tak przebiegłą, że otrzymawszy pomarańczę itp., pokazuje ją Mafoce przez otwór lecz natychmiast się kryje, gdy Mafoka się zbliża.

Mafoka trzymając się tylnemi nogami liny, obraca się wkoło z nadzwyczajną szybkością; przez cały dzień zajmuje się gimnastyką. Robi sobie także sama z drzewa wykłówacze do zębów i używa ich jak człowiek do wykłówania zębów i czyszczenia paznogci u rąk i nóg. Panu, który ją raz ze mną odwiedził, ukradła chustkę od nosa, zarzuciła ją na siebie jakoby welon lub zarzutkę (mantylę) i bardzo niechętnie ją zwróciła. Inny raz wetknęła za daleko rękę w ucho blaszanego garnka i mimo wszelkich usiłowań nie mogła go zdjąć z ręki. Przypadkowo przechodziłem koło niej; zawołała na mnie, pokazując, co się jej stało. Obcęgami zdjęliśmy jej zaraz garnek: wdzięczność swoję okazała pocałowaniem, przyczem objęła mnie rękoma. Gdy Leutemann[1]) z Lipska odwiedził Drezno i przez kratę pokazał jej swoję książeczkę z szkicami, z wielką uwagą przewracała kartki tam i sam, przypatrując się przez dłuższy czas niektórym obrazkom zwierząt z miną znawcy. Kupiłem jej książkę z obrazkami, którą z początku bardzo uważnie przeglądała; po dłuższym czasie i częstszem przeglądaniu wyrwała mi ją i nim ją zdołałem odebrać, obeszła się z nią niemiłosiernie. Pomniejsze przedmioty lubi chować do gęby, jak to raz zrobiła z zegarkiem.

Wiele z opowiedzianych tutaj figli nie wyprawiała u dawnego pana swego.

[1]) Znany rysownik zwierząt.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Historja włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy XIX. wieku: napisana przez W. Al. Maciejowskiego: Warszawa, 1874.

Rozprawa konkursowa przez Towarzystwo Przyjaciół nauk Poznańskie uwieńczona nagrodą, którą z własnych funduszów August hr. Cieszkowski wyznaczył, a która to rozprawa pojawia się w druku, jako drugi artykuł dopełniający Historję prawodawstw słowiańskich. Na historję włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce, ogłoszony wr. 1858 konkurs przez poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk pozostał bez skutku. W programie podano szczegółowo co ma być w historji włościan i historji ekonomicznych stosunków najbardziej uwzględnione. Towarzystwo jednak nie mogąc się na termin żądanego dzieła doczekać, przedłużało konkurs po trzykroć, a w czwartem ogłoszeniu dodało, że mogą się równie i monografje wchodzące do historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce ubiegać o nagrodę. Dzieło p. W. Al. Maciejowskiego, uznane przez komisję jako godne nagrody, obejmuje następujące epoki: 1) wychodzi od najdawniejszych czasów aż do wyposażenia duchowieństwa katolickiego dobrami ziemskiemi; 2) zawiera epokę Piastów; 3) obejmuje czasy Kazimierza Wgo, Władysława Jagiełły i jego synów; 4) przypada na czasy, gdy rządy na Litwie i w Polsce sprawowali wnukowie po mieczu i kądzieli i syn najmłodszy Władysława Jagiełły, jakoteż monarchowie obcego Piastom i Jagiellonom rodu; 5) zawiera historję najnowszych czasów. Oprócz tego dodatki w liczbie sześciu obejmują: 1) rękopisy, urywki historyczne, i spostrzeżenia krytyczne; 2) dwa powstania domowe; 3) wojskowa służba włościan; 4) pogląd szczegółowy na statut przez Maciejowskiego ułożony; 5) broszury; 6) do czytelnika.

— Hodowla zwierząt przez H. Settegasta. Podług trzeciego niemieckiego wydania przełożył i własnemi spostrzeżeniami dopełnił Aleksander Tyrski. Warszawa, 1875.

Dzieło to traktuje o znaczeniu hodowli w związku z uprawą roli, o rasach zwierząt domowych, o płodzeniu i odziedziczaniu, o powierzchności zwierząt domowych, o metodzie i sztuce hodowania. 129 rysunków w tekście uzmysławiają naukę, nareszcie pięć tablic rysunkowych przedstawiających barana starożytnego Egiptu i barana Nubijskiego, dalej ras pierwotnych i przechodnich koni, bydła i owiec, wreszcie krzyżowanie rasy Shorthorn z bydłem Zebu jasno wykazują, co umiejętna budowla zwierząt zdziałać może. W pierwszym numerze *Tygodnia* donieśliśmy o dziele tego samego autora, które zajmowało się nauką hodowania zwierząt gospodarskich. Niniejsza praca jest inna i od tamtej znacznie obszerniejsza.

— Systematyczny kurs Nauk. Wypisy Polskie. Stopień I. Z „Wstępem,“ podającym zasady i drogi, jakich się trzymać należy w wykładzie Wypisów. Ułożył August Jeske. Warszawa, 1874.

Jak w ogóle na drodze postępu, nauk, przemysłu i handlu Królestwo Polskie przoduje innym krajom polskim, a nawet trzyma się na równi ze Zachodem, tak i w wydawnictwach książkowych wyrabia się tam zasada, że pewna firma stawia sobie za zadanie wyświecenie jednej gałęzi wiedzy, i podług przyjętych zasad książki do tejże się odnoszące oryginalne lub tłumaczone wydaje. Tak księgarnia S. Arcta w Lublinie przedsięwzięła wydawnictwo dzieł pedagogiczno-szkolnych. August Jeske, najzdolniejszy może nasz pisarz na polu literatury pedagogicznej, kieruje tem wydawnictwem. Metoda poglądowa (lessons on objects), która na zachodzie już dawno w pierwotnem wykształceniu znalazła zastosowanie, jest w tem wydawnictwie systematycznie przeprowadzoną; a ma przedewszystkiem na celu wychowanie domowe dzieci od lat 3 do 15. Większa część już dokonana. Wiedząc jak ważną rolę domowe wychowanie odgrywa, podamy na tem miejscu w następnym numerze szereg książeczek przez wspomniane wydawnictwo już ogłoszonych, ze serdecznem życzeniem, by znalazły się w każdym domu. Szczególniej w przedmowach do tychże nauczyciele i rodzice znajdą wiele wskazówek, podług których dzieci rozumnie wychowywać i kształcić bądą mogli. Dodać tu jeszcze winniśmy, że „Systematyczny kurs nauk“ zamknął autor w trzech perjodach: przedelementarnym niższym i elementarnym wyższym. Już to królestwo Polskie w każdym prawie tygodniu przynosi nam jakąś wielce pożyteczną książkę.

Francuska.

— Madame de Choiseul et son temps. Etude sur la société française à la fin du XVIII siècle, par M. G. Grasset, president à la cour d'appel de Montpellier. Paris, Didier. 1874.

Pan de Grasset, w listach pisanych przez panią Choiseul do pani du Deffand, szukał rysów do odkopjowania tej niezaprzeczenie najsympatyczniejszej postaci wieku ośmnastego. Miała ona przymioty swojego stulecia, nieposiadając żadnej z jego wad; żywa, dowcipna, wykształcona, pełna skromności a przytem i powagi, umiała zachować sławę swoją nieskazitelną tam, gdzie tyle kobiet znalazło się w przepaści. Poszukiwana w towarzystwach literackich, była duszą wieczorków pani du Deffand, którą w swoich korespondencjach żartem nazywała wnuczką a ta ją odwrotnie babunią, chociaż sławna ta markiza była o 40 lat starszą od pani de Choiseul. Autor podzielił swoją pracę na trzy oddziały: Wersal, Chanteloup i Paryż. Wersal, to czasy świetne pana de Choiseul, czasy jego ambasady i ministerstwa. Wysoko ceniony na swojem stanowisku, był postrachem nieprzyjaciół i rywalów, którzy sami największy hołd mu oddali, gdy później pod Ludwikiem XVI obawiali się, aby do władzy nie wrócił. Chanteloup to niełaska zwycięska, w której dwór i miasto stanęły po stronie wygnanego ministra, przeciw słabemu panującemu pozbawionemu powagi i władzy i przemożnej faworycie. Pani de Choiseul z godnością prowadzi dom swojego męża i przewodniczy zebraniom, gdzie wiadomości bieżące i polityka nowych ministrów była roztrząsana i obracana w śmieszność. Paryż nareszcie, to powrót tryumfalny z wygnania, gdzie jednak jego miłość własna boleśnie była draśniętą. Ani wpływy przyjaciół, ani protekcja młodej królowej, nie zdołały mu wrócić wydartej przez panią du Barry władzy. Nic nie mogło zatrzeć uprzedzenia i obojętności Ludwika XVI. dla dawnego ministra, a oprócz słów, jakiemi powitał księcia młody król: „Ach! jakże pan utył, panie Choiseul!“ przy pierwszej audjencji, nie otrzymał on żadnego innego dowodu życzliwości. Umarł p. de Choiseul, nie mogąc zwalczyć niechęci króla, 9. maja 1785, a pani de Choiseul żyła jeszcze aż do 3. grudnia 1801. — W taki sposób opowiedział p. Grasset z wielkim wdziękiem zajmujące dzieje tych osobistości, grupując z prawdziwym talentem obok nich — wybitniejsze postacie i z życia znakomitej kobiety zdjął obraz końca XVIIIego wieku. Jest to dzieło wielkiej wartości, dające się czytać z niemałem zajęciem a nawet przejęciem.

— Les joyaux du duc de Guyenne. Recherches sur les gouts artistiques et la vie privée du dauphin Louis fils de Charles VI, p. M. Leopold Pannier. Paris, Didier 1874.

Pan de Pannier zadał sobie nie mało trudu, odgrzebując z zapomnienia trzeciego syna Karola VI i Izabelli Bawarskiej, Ludwika, księcia de Guyenne, następcy tronu po przedwczesnej śmierci dwóch starszych braci, który rządził tylko nominalnie przez przeciąg lat 6ciu. Odgrywał on, powiada p. de Pannier, nietylko wcale znaczną rolę polityczną, ale jako wielbiciel sztuk pięknych, gorliwy zbieracz klejnotów i zapalony amator książek, jak żaden z jego rodziny, zasługiwał aby o nim więcej wiedziano. Poszukiwania pana de Pannier nie zawstydziłyby najuczeńszego archeologa, a wykryty i opisany zbiór klejnotów tegoż księcia, przedmiotów sztuki, manuskryptów z XV wieku niemałej jest wartości. Nietylko zajmował się książę Ludwik popieraniem sztuk pięknych, ale gorliwym był protektorem dzieł wydawanych i polecał autorom tworzenie prac oryginalnych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

— We Lwowie zawiązał się komitet, złożony z pp. Mieczysława Darowskiego, Alfreda Młockiego, księdza Dalmacego Ufryjewicza i Kornela Ujejskiego, który postanowił uczcić medalem pamięć pomordowanych na Podlasiu przez Moskali, włościan polskich. Komitet ogłosił już odezwę, wzywając do składek. Subskrypcje na medale z bronzu w cenie 3 złr. przyjmują redakcje wszystkich pism polskich.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Bohemia* zamieszcza ciekawą wiadomość o starożytnych narzędziach muzykalnych polskich, mianowicie smyczkowych, które posiada fabrykant narzędzi muzykalnych, Antoni Sito w Pradze. Były one własnością artystów polskich, roboty polskiej. Różnią się zupełnie budową od tegoczesnych. Pochodzą z lat 1579—1656, co tem więcej zasługuje na uwagę, iż słynna z wyrobu skrzypców Cremona zaczęła dopiero wówczas nabierać imienia, a fabryka w Bernie nie miała jeszcze rozgłosu. Zdaje się więc, że w Polsce robiono wcześniej wyborne skrzypce, niż w innych krajach. W instrumentach tych wlepione są kartki właścicieli a nawet pewne zdania.

— W Warszawie, artysta-rzeźbiarz Gundelach otwiera pracownię rzeźbiarską. Jego model gipsowy „Marzycielka" oglądany na Wystawie sztuk pięknych, zwrócił na siebie uwagę znawców.

— W warszawskiem Towarzystwie muzycznem rozpocznie się wkrótce szereg odczytów z muzyką związek mających. Zdaje nam się, że i lwowskie Towarzystwo muzyczne mogłoby o czemś podobnem pomyśleć.

— W Londynie pojawiła się obecnie u Trübsera i Sp. niezmiernie ciekawa książka. Jestto przekład najpiękniejszego poematu w języku Pali tj. narzeczu, używanem na Cejlonie. Poemat ów nosi tytuł „Dathavansa," co znaczy „Historja świętego zęba," a przekładu jego na angielski dokonał p. Mutu Coomara, członek Rady prawodawczej Cejlonu. „Dathavansa" datuje się z XII. wieku, autorem jego zaś jest mnich buddyjski nazwiskiem Dammakitti. Historja zęba Buddy opiewana w powyższym poemacie, przedstawia szereg przygód i wypadków nadzwyczajnych. Ząb ów trzonowy, z lewej strony, znajdował się najprzód w posiadaniu krola Kalingi, miasta w niższym Bengalu, które się dzisiaj nazywa Pouri. Król ów złożył święty ząb w okazałej kaplicy, gdzie oddawano mu cześć przez 800 lat prawie. Ale około 300 r. przed Chrystusem powstał w Indjach wielki ruch Braministów. Cała armja „antybuddyjska" wyruszyła przeciw Kalindze w celu zniszczenia kultu owej relikwji, który wydawał się Indusom w najwyższym stopniu obrzydłym. Miasto wzięto szturmem, król Kalingi zginął, ale zięć jego zdołał uciec ze świętym zębem i schronić się do wschodniego Dekanu. — Książe ten błąkał się z błogosławionym szczątkiem, z miejsca na miejsce przez czas długi, w pośród przygód, przy których Odyssyja jest niczem, nareszcie przybył na Cejlon, z drogocennym skarbem w ręku. Pobożni mieszkańcy tej wyspy z niezmiernem uniesieniem przyjęli ząb święty i obnosili go z miasta do miasta. Ale nie tu jeszcze skończyły się awantury szczątka Buddy. Jeden z królów indyjskich odebrał go gwałtem Cejlończykom, szczęśliwie jednak w dziewięć lat potem wyspiarze stratę swoją odzyskać zdołali. Portugalczycy twierdzą, że potrzaskali ząb ten młotem na kowadle, ale ludność Cejlonu żywo temu zaprzecza, zaręczając, że prawdziwy ząb uniknął zatraty i dzisiaj jeszcze pokazuje olbrzymi kawał kości słoniowej, nazywając go prawdziwym zębem Sakyamuni. Wszystkie te przejścia, przygody i nieszczęścia zęba Buddy, opisuje poemat „Dathavansa" w sposób niekiedy żywo epiczny i wznoszący się do prawdziwej poezji.

— Brockhaus lipski do biblioteki swojej pisarzy zagranicznych dołączył teraz nowy dział niderlandzki i rozpoczął go tomem „Gedichten von Emanuel Hiel." Hiel jest jednym z najznakomitszych poetów, w tak ubogiej zresztą pod tym względem literaturze holenderskiej.

— Żyją jeszcze mecenasi i książęta—sztuk przyjaciele. Ks. Meiningen, w uznaniu świetnych zasług jakie trupa jego teatralna dworska podczas gościnnego pobytu w Berlinie dla dobra sztuki położyła, zaszczytnie ją za powrotem wynagrodził. Zaprosił cały personal na świetny bankiet w willi swojej. Przy tej uczcie hojne podarki spadły na artystów i artystki, brylantowe szpilki, pierścionki, cenne bransolety, awanse, a Radzca zarządu teatralnego, Grabowski, otrzymał nawet krzyż Ernestyńskiego familijnego orderu.

— W Weimarze zawiązało się „Ogólne Towarzystwo dla literatury niemieckiej" które postanowiło zająć się wydawaniem dzieł znakomitszych autorów współczesnych. Podobne towarzystwo istnieje już oddawna w Stuttgardzie, ale tamto wydaje tylko dzieła dawniejszej literatury.

— Miasto Rawenna miało w tym roku obchodzić 400-letnią rocznicę urodzin Ariosta, ale z rozmaitych powodów odłożono uroczystość na r. 1875. Na pamiątkę tego jubileuszu, włoski minister oświecenia kazał wybić medal. Portret poety znajduje się na nim według malowidła Tiziana, odlaniem zajął się Pieroni we Florencji, a stosowne napisy ułożył profesor Guarti.

— Dotychczas mniemano, że mowa mrówek składa się tylko ze znaków czyli gestów i uważano za organa służące ku temu, w części czułki, a w części szczęki tych owadów. Świeżo jednak prf. dr. Landois, na 31 walnem zgromadzeniu reńskiego przyrodniczego towarzystwa, przedstawił przekonywające dowody, że mrówki mowę dźwiękową posiadają. Przyglądy ku temu znajdują się u naszych pospolitych mrówek na tylnych pierścieniach ich ciała i zbudowane są w ten sam sposób jak u jelonków. Dźwięk jednak wytwarzany przez nie jest dla ucha ludzkiego pochwycalnym.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Pod względem archeologicznym, Syberja dotychczas zaledwo powierzchownie jest zbadaną, gdy tymczasem w interesie wiedzy do najtroskliwszych poszukiwań w niej przystąpić by należało. Pokazuje się to dowodnie z najświeższych wiadomości z gubernji tobolskiej, wedle których niedaleko od koryta Irtyszu, wykopano srebrny pozłacany puhar, około funta ważący, koło Kondy zaś odnaleziono szczątki starożytnej broni żelaznej i gliniane naczynia z ozdobami z drogich metalów. Przedmioty te przyniesiono do Tobolska wraz z wiadomością, że koło Kondy znajduje się wiele pagórków i kurhanów, których rozkopanie niecenione owoce dla archeologji przynieść by mogło. Podżegnięty tem komitet statystyczny Tobolski, przedsiębierze z wiosną przyszłego roku w rozmaitych okolicach Syberji troskliwe poszukiwania i rozkopy.

— Inżynier Janicki, który kierował częścią robót przy budowie kanału Suezkiego, otrzymał wezwanie do wzięcia udziału w robotach około tunelu podmorskiego między Francją a Anglją, tj. z Calais do Dover, który niewątpliwie przyjdzie do skutku.

— Roboty hydrauliczne podjęte przez Anglików na rzecze Sonie istotnie coś olbrzymiego w sobie mają. Sona spływa z gór Vindhya i łączy się z Gangesem, powyżej Patny. Woda w niej bardzo wysoka w porze dżdżystej, opada niezmiernie w lecie: w każdym razie jednak jest to rzeka znacznej długości i głębi, zdolna do obfitego nawodnienia najlepszych gruntów znajdujących się w jej dolinie, byleby tylko utrzymać jej zimowe wody w rezerwie, za pomocą potężnej tamy. Taką tamę wybudowali właśnie obecnie Anglicy, jak donosi Emil Schlagintweit w gotajskich „Mittheilugen". Znajduje się ona w pobliżu Deri, 101 metrów nad poziomem morza. Cała jest kamienna. Długość jej dochodzi czterech kilometrów! Kanały za jej pomocą zasilone użyźniają do 800000 hektarów gruntu. Jeden z nich, kanał Pahtna, ma długości 133 kilom., drugi Arra, na lewym brzegu 64 kil. Cała budowa tej tamy trwała trzy lata.

— W muzeum w Saint Germain odbyto niedawno ciekawe próby z bronią starorzymską — wykonaną pod kierunkiem p. Maitre, dyrektora Muzeum, wedle płaskorzeźb kolumny trojańskiej i rozlicznych wskazówek w dawnych dokumentach i traktatach wojskowych zawartych. Chodziło o sprawdzenie sposobu użycia i naoczne przyjrzenie się skutkom owej broni. Próby odbyły się na placu ćwiczeń w Saint Germain, w obecności mnóstwa wojskowych, uczonych i ciekawych. Próba z katapultanie, przyrządami do miotania kamieni, wykazała, że pocisk rzucony przez nie przebiegał przestrzeń dwustu metrów; strzały wypuszczone z balistów, ogromnych łuków napinanych za pośrednictwem mechanizmu młynkowego, uderzały w cel o 300 metrów oddalony, w mniej niż sześć sekund od chwili wystrzału. Regulować te przyrządy dają się z taką ścisłością, że na 169 metrów, ani jeden pocisk nie chybi.

— Miasto Antigua w Guatemali zostało całkiem zburzone w skutek gwałtownego trzęsienia ziemi.

Statystyka.

— Według najnowszych obliczeń, na całej kuli ziemskiej poczty przyjmują rocznie 3.300 miljonów listów, a więc dziennie $9^1/_2$ miljonów. Europa dostarcza rocznie 2.355 miljonów, Ameryka 750, Azja 150, a Afryka i Australja od 20 do 25 miljonów. Ruch międzynarodowy wynosi około 500 miljonów listów.

— Obliczono, że na 1360 miljonów ludzi żyjących na świecie, 1000 m. obchodzi się bez pisma i materjałów pismiennych. Pozostałe zaś 360 miljonów, należących do rodzin indogermańskiej, indosławiańskiej i indoromańskiej, używa papieru z najrozmaitszych materjałów, a mianowicie z głogu, słomy, drzewa, morwy, torfu, kartofli itd. a to w ilości rocznej 18 miljon. centn. tak że przecięciowo na każdego z tych pismiennych ludzi wypada 5 funtów papieru rocznie.

— W r. 1873 Niemcy całe dostarczyły 1000 lokomotyw i 30.000 wagonów kolejowych, w wartości 30,000.000 talarów. Przed 32 laty nie było jeszcze w Niemczech ani jednej fabryki wyrabiającej lokomotywy lub wagony.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Ostatni wielki jarmark lipski wypadł stosunkowo bardzo źle. Kupców było nie wielu.

— W Paryżu powstała obecnie nowa fundacja dobroczynna, która nosi nazwę „Instytucji żłobków". Fudacja ta jest owocem szlachetnego natchnienia, daje bowiem schronienie niemowlętom, szczególniej z warstwy robotniczej na czas, gdy matka jest zajęta pracą, zapewnia im pokarm i opiekę, słowem wszystkie starania dobrej mamki, — a to za drobną opłatę 20 centym. dziennie. Błogosławione skutki dla dobrobytu klasy robotniczej z instytucji tej wynikną. Dziecko dobrze karmione i w warunkach hygieny fizycznej i moralnej choć przez kilkanaście godzin dziennie chowane; matka ma ręce wolne i spokojne serce do pracy na byt — a cała ta ulga niezmierna tak mało kosztuje, że ojciec biednej rodziny oszczędnością prawdziwą nazwać ją może. Dotychczas Paryż ma dopiero 16 takich „żłobków", ale komitet zajmujący się tą instytucją, codzień prawie ją rozwija. Ofiary publiczne sypią się obficie. Dar jednorazowy 40 fr. pozwala na ufundowanie jednej kołyski. Kto składa 100 fr. na raz, staje się założycielem i imię jego na wieczną pamiątkę w sali „żłobków" zapisanem zostaje. Oto piękny czyn dobrego gospodarstwa krajowego!

— W departamencie Gironde, we Francji, zabijają rocznie około miljon jaskółek, które przekupnie potem jako przysmak sprzedają. Prevost wykazał, że jedna jaskółka łapie dziennie do 250 szkodliwych owadów, przeto dziwić się trzeba, jakim sposobem rząd francuski pozwala na takie szkodzenie gospodarstwu krajowemu.

— Jako doskonały środek przeciw tworzeniu się grzyba na meblach i boazerjach, lub na zniszczenie go gdzie już się znajduje, podają kilkakrotne pociągnięcie hydraulicznym cementem, lub też mięszaniną z jednej części kwasu siarczanego z trzema częściami wody.

— Tegoroczna posucha daje się gospodarzom czuć bardzo dotkliwie w wielu okolicach. I tak donoszą z powiatu Gostyńskiego w Królestwie Polskiem, że pojawiły się tam jakieś białe robaki, długości półtora cala, które zaszkodziwszy bardzo burakom, niszczą teraz oziminy.

Nekrologja.

— W Piotrkowie zmarł Daniel Neufeld, redaktor *Jutrzenki*, tłumacz pięcioksięgu Mojżesza, autor kilku innych prac literackich, człowiek zacny i postępowy, którego śmiało można postawić za wzór wszystkim starozakonnym.

— Fryderyk Baudry, młody a już sławny mamalarz francuski, który gmach nowej Opery paryskiej przyozdobił ślicznemi freskami, uznanemi przez krytykę francuską za znakomite, umarł, dnia 6 bm. w Kolonji. Niepowetowana to strata dla świata artystycznego.

ROZMAITOŚCI.

— Szanowny nasz korespondent londyński przysłał nam następujące ciekawe szczegóły z pamiętnika Szacha perskiego: Pismo literacko-naukowe pod tytułem *Academy* podaje treść pamiętnika własnoręcznie pisanego przez Szacha perskiego, z jego pobytu w Anglji. Szczegóły są bardzo ciekawe, nie tak pod względem osobliwych poglądów, jak raczej sposobu zapatrywania się na ludzi i stosunki, wschodniego potentata, syna słońca, brata księżyca itd itd. Przeglądając treść tego pamiętnika, zostawałem pod wrażeniem, jakobym gdzieś już coś podobnego czytał. I istotnie, po długich przypomnieniach znalazłem wielkie podobieństwa uwag Szacha Jegomości, do pamiętników kilkanaście lat temu wydanych Wojewody Niesiołowskiego wraz z opisaniem jego podróży do Rzymu. Nie ulega wątpliwości, że nasza poczciwa szlachta w XVII a nawet w XVIII wieku, podobnie myślała i sądziła o rzeczach, jak teraz szanowny brat księżycowy. Komu to podobieństwo przynosi zaszczyt — szlachcie naszej, czy Szachowi, nie rozstrzygam. „Przybywszy do dworu — pisze Szach — przywitałem się z książętami Edymburgskim i Arturem. Książę Edymburga jest dość tłusty z niebieskiemi oczami mężczyzna, a jego brat mniejszy i chudszy.“ Przez drogę Jego Szachowska Mość mało uwagi zwracała na pola uprawne, „albowiem wiadomą jest rzeczą, dodaje, że Anglja słynie z kultury rolniczej. — Po przyjeździe na stacją Czering-Kross niezliczony tłum narodu, który się nie kończył, oczekiwał nas. W Londynie dużo ładnych kobiet, postawa mężczyzn i kobiet jest szlachetna, poważna, wspaniała i mocna. Widocznie że Anglicy są wielkim narodem. Bóg obdarzył ich siłą i zręcznością, zdrowym rozsądkiem, rozumem i edukacją. Nie ma więc nic dziwnego że oni podbili Indje, mają kolonje w Ameryce i innych częściach świata.“ — Oddając wizytę księciu Walii, Szach zachwycony był skórami lampartów, a w rezydencji księcia Edymburgskiego, jako dobry myśliwy, podziwiał wypchane lwy i tygrysy. „Książe Cambrige ma twarz czerwoną a białe włosy — co go robi przyjemnym. — Potem oddaliśmy wizytę siostrze księcia Cambrige, która jest za księciem Teck (Tik). Jest to książe z niemieckiej rodziny i ma małe wąsy.“ — Podczas przyjęcia u siebie. w pałacu Buckingham, Jego Szachowską Mość najmocniej zajęły klejnoty, jakie miał na sobie jeden z książąt Indyjskich, młody człowiek z niebieskiemi oczami. „Nazajutrz pojechałem do Windsoru odwiedzić królowę i znowu siedziałem na tronie; wtedy lord minister dworu przyniósł order podwiązki, a sama królowa wręczyła mi go, za co w zamian dałem jej order lwa i słońca z własnym portretem obsypany brylantami.“ — Jego Szachowska wielkość lubi dobrze zjeść i zna się na kuchni. Nie omija zatem sposobności notować, gdzie tylko dobrze jadł. — „Tutaj dobre jedliśmy śniadanie, a tam były doskonałe owoce. Królowa ma lat 50, ale babina wygląda na 40 — jest dosyć przyjemna i dobra kobieta.“ W przejeździe na bal do Lorda Mera, Szach zwrócił uwagę na policję, o której pisze „że się jej boją w Londynie, gdyż tu każde nieposłuszeństwo ma ona prawo karać na miejscu śmiercią (?!?)“ — Na balu siedział także Szach na krześle, czyli na tronie, przy kolacji pił toasta, a po powrocie do domu położył się spać. — „Jednego wieczoru byłem w teatrze na operze. Śpiewała Pati, którą umyślnie dla mnie sprowadzono. Jest to bardzo ładna kobieta, śpiewa dobrze i wzięła dużo pieniędzy, aby przyjechać do Londynu... Anglicy serdecznie mnie lubią, bo gdy jechałem do zoologicznego ogrodu krzyczeli mi: hura! Hipopotam jest bardzo osobliwa rzecz... W Portsmouth siadłem na statek i tam jadłem śniadanie, które było bardzo dobre. Po śniadaniu książę Walii powiedział: — Chodźmy salutować okręta i wyszliśmy na pokład. W Alberth-hall zatrzymałem się w przedsionku nad maszyną do wyrabiania makaronów. W sali przyglądałem się obrazom malowanym przez majtków i oficerów marynarki, które bardzo mi się podobały. Po tem poszedłem na koncert, na którym był taki tłum, jakiego nie było od początku świata, dwadzieścia tysięcy osób — a nikt nie gadał i nie krzyczał, wszyscy słuchali. Po koncercie wróciliśmy do domu i położyłem się spać. — Byłem u Lorda Russel który chociaż stary ma dobrą głowę i jest whig. Muszę wam wytłumaczyć co jest whig. Wszyscy ministrowie angielscy dzielą się na dwie partje. Partja, która teraz rządzi, jest partja whigów, na czele jej stoją lord Gladstone i lord Granville i drudzy ministrowie. Druga partja, która myśli inaczej, nazywa się partja thory i ma na swojem czele pana Disraeli, lorda Derby i innych. Kiedy pierwsza partja ustępuje z władzy, to wszyscy ministrowie zastępują się ministrami partji drugiej. (Bardzo jasne tłumaczenie dla Persów, co to są torysi i whigi.) W salonie pani Trassaud woskowych figur, zdziwienie moje doszło do zenitu. Nie mogłem żadną miarą odróżnić ludzi żyjących od zrobionych z wosku i dopiero gdy zaczęli jedni rozmawiać i śmiać się, a drudzy stali ciągle w miejscu — odgadłem którzy są żywi. — Jeszcze raz byłem w Alberthall i tam kupiłem piętnaście malowideł. Dyrektor wystawy bardzo rozumny człowiek z białą brodą, wymieniał mi ceny. Między innemi naznaczył za malowanego osła 100 funtów. Ja zaś zauważałem, że jeżeli żywy osioł kosztuje 5 funtów, dla czego malowany jest tak drogi. Dyrektor odpowiedział mi: „Malowanego nie potrzeba karmić, nie je on ani jęczmienia ani słomy.“ Ja zaś powiedziałem, że jeżeli jego utrzymanie nic nie kosztuje, to też on nic nie nosi i nic nie wozi... Z czegośmy się wszyscy śmieli. Wyjeżdżając z Londynu widziałem jak poczciwi Angielczyki byli zmartwieni, widząc mnie opuszczającego ich. Więcej nie mam nic do dodania, za co przepraszam czytelników, tłumacząc się tem, że tylko 18cie dni bawiłem w tym kraju“. Jesteśmy pewni że sam Radziwiłł Panie Kochanku nie powstydziłby się tak szlachetnegs poglądu na sprawy ludzkie.

— Oto jest najnowszy rozkaz dzienny Królowej Etykiety, który ogłasza poddanym swoim przez usta jednego z francuskich dzienników: Kobieta należąca do dobrego towarzystwa niech nie śmie nigdy wychodzić w pełnym stroju, tj. w piórach, koronkach itd., zrana, ani siadać do omnibusa, ani iść tak strojna w dzień dżdżysty. Kobieta dystyngowana ma być zawsze troskliwie obutą i „urękawicznioną“ (nie ma słowa!) jeżeli zaś przytem będzie mieć suknię świeżą, choćby najprostszą, złoży się z tego najwdzięczniejsza toaleta. Kobieta ze smakiem niech się strzeże najtroskliwiej fałszywych koronek, fałszywego futra, lub jakiejkolwiek innej fałszywej ozdoby; wiedzieć bowiem powinna, że prawdziwa elegancja polega daleko więcej na dystynkcji i harmonji, aniżeli na prawdziwej czy pozornej drogocenności szczegółów stroju. Strój winien być zastosowanym do godziny odwiedzin i ich powodu. I tak, nie należy nigdy oddawać wizyt poślubnych, jeżeli się nosi żałobę, ani tem bardziej odwiedzin kondolencyjnych w stroju jasnym czynić. Rola rękawiczek jest bardzo ważną. Białych używać można tylko na wieczory, w kolorach ciemnych do wizyt a jasnych jedynie w lecie. Mężczyźni także stosować się muszą do pewnych przepisów. Nie wolno im naprzykład wychodzić zrana w czarnym stroju, chyba że są do tego zmuszeni, ani w dzień wizyt oddawać w takiem ubraniu; w wieczór za to jest ono koniecznem; kamizelki i pantaljony fantazyjne, tylko do fantazyjnego stroju brać można.

— Niewątpliwie ze wszystkich okolic świata, Rossja i Stany Zjednoczone najwięcej obfitują w pijaków i straszliwych tego skutków doświadczają. W Ameryce okropną tę plagę zwalczają wszelkiemi siłami. Oto właśnie teraz Stan Nowo-Yorkski ufundował wielki zakład przeznaczony umyślnie dla pijaków. Zakład ten znajdujący się w pobliżu miasteczka Binghamptom ma za zadanie nietylko trzymać w zamknięciu nałogowych opojów, ale zarazem starać się o wyleczenie ich, jeżeli podobna, z tej smutnej namiętności. Znajduje się w nim oprócz zabudowań mieszkalnych, kaplica, bibljoteka, sala gimnastyczna, bilardowa i konwersacyjna. Urządzenie i kierunek tego zakładu czynią zaszczyt krajowi. Na nieszczęście użyteczność jego i potrzeba aż zanadto wyraźnemi się okazują. Dziś bowiem mieści on w sobie 800 klientów, pomiędzy którymi znajduje się 30 księży, 8 sędziów, 197 adwokatów, 226 doktorów i 340 „rozmaitych“ przeważnie kupców, przemysłowców i spekulantów.

— U Annamitów paznokcie są miarą szlachetności rodu i zamożności. Im dłuższe, tem arystokratyczniejsze. Dostojne osoby nie obcinają ich sobie nigdy, ale dochowują do długości 50 centymetrów! Obecnie właśnie nadesłano do Paryża fotografowaną kolekcję rąk anamickich, z której można powziąć dokładne wyobrażenie o osobliwym tym obyczaju. Na jednej z tych fotografij ujrzeć można paznokcie długie od 15—20 centymetrów, rozrosłe w linji prostej. Na innej doszły one do 50 prawie centym. i pokręciły się w najdziwniejsze esy. Pomimo swej długości jednak nigdy te fantastyczne szpony nędznej, wycieńczonej, lub oszpeconej postaci nie mają. Bogaci Annamici bowiem zabezpieczają te ozdoby równie delikatne jak niewygodne za pomocą umyślnie ku temu przeznaczonych przyrządów. Zaiste, przyznać potrzeba, że próżność ludzka dalej już pójść nie może — w niedorzeczności formy!

— Manja samobójstw doszła w ostatnich czasach do straszliwych rozmiarów. Moraliści w obec coraz to nowych faktów i nieubłaganych cyfr statystycznych, załamują z rozpaczą ręce, nie mogąc odnaleźć przyczyny tej prawdziwej epidemji. Nie oszczędza ona kwitnącej młodzieży, ledwie na progu życia, jak niedawno w mieście naszem mieliśmy tego kilka smutnych przykładów, nie oszczędza nawet dzieci. *Evenement* przerażający daje na to dowód. Opowiada o nagłem zniknięciu jedenastoletniego dziewczęcia, należącego do zamożnej kupieckiej rodziny w Paryżu, która wnet się już wycofać miała z interesów i używać na prowincji ciężko zapracowanego dobrobytu. Maleńka Klemencja była jedynaczką tych uczciwych ludzi. Od pewnego już czasu zauważano w niej osobliwy smutek. Naraz zniknęła bez śladu. Rozpoczęto badania i poszukiwania rozpaczliwe. Kilka słów i napomknień towarzyszek jej zbudziło podejrzenie, że odebrała sobie życie. Jak? dla czego? Dziecko pieszczone, otoczone staraniami — jednastoletnie dziecko! A jednak było to straszliwą i nieubłaganą prawdą! W kilka dni po jej zniknięciu, praczki postrzegły zwłoki dziecka w Sekwanie. Była to mała Klemencja. W kieszonce jej sukni znaleziono kartkę, w której dziecię to obdarzone przedwczesną wyobraźnią przyznawało się, że nie mogąc przenieść myśli rzucenia Paryża i wybrania się wraz z rodzicami na prowincję — a tem samem rozstania z chłopczykiem, którego kocha, postanowiła odebrać sobie życie!

— Ciekawą sprawę roztrząsano niedawno na posiedzeniach kongresu Stanów Zjednoczonych. Oto Utach, mając wysłać delegata, wysłało mormona, który jako taki miał kilka żon. W izbie długo nad tem toczyły się spory, czy nowy kolega powinien być przyjęty, czy nie. W końcu przyjęto go, ale równocześnie uchwalono ustawę, która członkom kongresu zabrania mieć więcej jak jedną żonę. Odtąd mormoni będą zmuszeni bądź wysyłać bezżennego, o którego prawdopodobnie będzie bardzo trudno, bądź obchodzić się bez reprezentanta.

Odpowiedzi Redakcji.

Do wszystkich czytelników „Tygodnia.“ Założywszy nasze pismo dla najszerszych warstw społeczeństwa, i chcąc by ono odpowiedziało słusznym wymaganiom ogółu, upraszamy niniejszem wszystkich naszych czytelników, aby zechcieli poczynić uwagi tak nad pojedyńczemi artykułami, jak w ogóle nad kierunkiem całego „Tygodnia“ i przysłali je na ręce naszego redaktora. Mamy nadzieję, że każdy z naszych czytelników odpowie na nasze wezwanie, tem chętniej, ile że częstokroć na pozór najmniej znacząca uwaga, może potem wyjść na korzyść pisma i czytelników. Za cel wzięliśmy sobie utrzymywanie czucia z krajem....

G. D. w Borowie. Autorem „Człowieka Śmiechu“ jest niejaki... Wiktor Hugo. Redakcja nasza nie zajmuje się wymianą książek.

F. S. w Tarnopolu. Dziękujemy za nader pochlebne uwagi. Co do naszych korespondentów, to staramy się rzeczywiście o jak najzdolniejszych. Prosimy tylko odczytać dzisiejszy list z Londynu.

B. we Lwowie. Wiersze dziś otrzymane także umieszczone nie będą. Treść lepsza jak forma; ta druga jeszcze słaba.

Pięknej Irenie we Lwowie. Musielibyśmy chyba to powtórzyć cośmy powyżej napisali.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.